Szalone, złe i smutne.

Kobiety i psychiatrzy

Lisa Appignanesi

MARGINESY

PRZEŁOŻYŁ JAN DZIERZGOWSKI

I

W PRZEDEDNIU

1

Szalona i zła

W sobotę 24 września 1796 roku londyński „The Times" opublikował następującą relację na temat matkobójstwa:

> W piątek po południu koroner i przysięgli zbadali zwłoki niewiasty z dzielnicy Holborn, która dnia poprzedniego zmarła wskutek ran zadanych jej przez własną córkę.
>
> Z zebranych zeznań wyłania się następujący obraz: otóż gdy rodzina zasiadała do kolacji, młoda dama chwyciła nóż stołowy i poczęła gonić swą uczennicę, małe dziewczę, po całym pokoju, grożąc jej przy tem. Kiedy schorowana matka poczęła ją wzywać, by się uspokoiła, córka zlekceważyła ją w pierwszej chwili, po czem z głośnym krzykiem przystąpiła bliżej. Tymczasem uczennica wołaniem swym ściągnęła właściciela domu, lecz za późno. Oczom jego ukazał się straszliwy obraz: oto matka leżała nieżywa na krześle, ugodzona w serce, córka jej zaś stała nad nią z fatalnym nożem w ręku. Obok płakał stary ojciec, krwawiąc z czoła, zraniony bowiem został jednym z widelców, którymi młoda dama w furii ciskała po pokoju.
>
> Przez kilka poprzedzających dni rodzina dostrzegała u niej pewne objawy szaleństwa, w środę wieczór zaś tak bardzo się one nasiliły, że aż brat jej rankiem dnia następnego udał się do dra Pitcairna, dżentelmena onego jednak w domu nie zastał. Ponoć młoda dama już wcześniej miała napady. Przysięgli oczywiście orzekli obłęd.

„Młodą damą", niewymienioną z nazwiska, która kilkakrotnie dźgnęła swą sparaliżowaną matkę i zraniła starego ojca, była Mary Lamb, wówczas trzydziestojednoletnia. Trudniła się szyciem sukien;

wraz ze swym o wiele sławniejszym bratem Charlesem miała później napisać *Tales from Shakespeare*[1], dzieło cieszące się ogromną popularnością i pozostające w druku bez przerwy od 1807 roku. Charles był dziesięć lat młodszy od Mary. Za sprawą przyjaźni z Samuelem Taylorem Coleridge'em, a także swych wierszy, szkiców i artykułów (w których powstaniu Mary miała udział, podobnie jak to było w przypadku Williama Wordswortha i jego siostry Dorothy), stał się jednym z najważniejszych przedstawicieli romantyzmu. W pierwszych latach XIX stulecia oboje z Mary prowadzili coś w rodzaju salonu i gościli u siebie „obdarty regiment" poetów, uczonych, krytyków, aktorów, muzyków, od czasu do czasu nawet marynarzy. Mary przyjmowała pod swym dachem najwybitniejsze osobistości przełomu wieków; witała je z ciepłym uśmiechem na swej bystrej twarzy, zawsze okolonej falbanką czepka[2]. Nawet ci, którzy znali jej przeszłość, określali ją mianem łagodnej, roztropnej, racjonalnej, spokojnej i wesołej. Bliska przyjaźń łącząca Mary i Charlesa oraz sympatia, jaką się cieszyli, są rzeczą powszechnie znaną. Dowody tego znaleźć możemy w obfitej korespondencji osób z ich grona.

Dziś Mary Lamb trafiłaby prawdopodobnie na oddział szpitalny zakładu penitencjarnego. Jak to się zatem stało, że dwa stulecia temu, popełniwszy morderstwo i zostawszy uznana za wariatkę, mogła wieść owocne choć niepozbawione trudności życie i cieszyć się wolnością?

Rodzinie Lambów źle się wiodło; w okresie, kiedy Mary dokonała swego okrutnego czynu i została uznana przez koronera i przysięgłych za „obłąkaną", jako jedyna zarabiała na utrzymanie bliskich. Ojciec, John Lamb, pracował dawniej jako służący i sekretarz prawnika Samuela Salta, a matka, Elizabeth Field, prowadziła Saltowi dom, więc rodzina mieszkała u niego w cichej, zielonej londyńskiej dzielnicy Inner Temple, dzieci miały zaś dostęp do biblioteki prawnika i korzystały z jego wzorowej hojności.

Mary chodziła do miejscowej szkoły, uczyła się angielskiej kompozycji oraz arytmetyki. Gdy miała czternaście lat, oddano ją na nauki do krawcowej. Charlesa natomiast Salt umieścił w prestiżowej szkole Christ's Hospital, gdzie chłopak poznał Coleridge'a, również „niebieskiego mundurka" (tak nazywano młodzieńców kształcących się w szkołach charytatywnych), i zapałał jeszcze silniejszym niż dotąd

uczuciem do literatury, które zresztą dzielił z siostrą. Dzięki wstawiennictwu Salta jako czternastolatek został przyjęty na praktyki buchalterskie, potem zatrudnił się w Kompanii Mórz Południowych, a następnie odbył staż w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Państwo Lambowie mieli siedmioro potomstwa, lecz tylko troje dożyło dorosłości. Najstarszy, John, cieszył się szczególnymi względami matki. Potężny wzrost i jasne włosy odróżniały go od Mary i najmłodszego Charlesa: ci byli drobni i ciemnowłosi. Charles utykał i co gorsza jąkał się. Od zawsze łączyła go z Mary szczególna więź, po części wynikająca ze wspólnego zamiłowania do książek, po części zaś z tego, że matka oboje traktowała chłodno. Poza tym jedno i drugie miało pewne doświadczenia z szaleństwem. W przypadku Charlesa przybierało ono postać melancholii, a w przypadku Mary powracających ataków manii.

Kiedy doszło do morderstwa, Samuel Salt nie żył już od trzech lat. Jego śmierć przyniosła Lambom niepomyślną odmianę losu. Rodzina musiała wyprowadzić się z Temple. Babka Field, gospodyni sporej wiejskiej rezydencji prawnika, której ogrody Charles i Mary wprost uwielbiali jako dzieci, także dokonała żywota, wizyty na wsi musiały więc ustać. Nowy dom w Holborn był ciasny; do tego Lambowie dzielili go z marudną starą ciotką. Ojciec, zaledwie pięćdziesięcioośmioletni, cierpiał na postępującą demencję, matka zaś, młodsza od niego o dwa lata, była sparaliżowana na skutek serii udarów. John uległ ciężkiemu wypadkowi, po którym wdało mu się zakażenie, przechodził więc długą rekonwalescencję, leżąc w łóżku i majacząc. Syzyfowa praca opiekowania się schorowanymi bliskimi spadła na Mary. Charles wciąż odbywał praktyki, toteż młoda kobieta musiała w pojedynkę zarobić na utrzymanie całej rodziny. Od świtu do nocy szyła suknie. Często kończyła dopiero późnym wieczorem, po czym kładła się spać w jednym łóżku ze swą sparaliżowaną matką, która nigdy nie okazywała jej ciepłych uczuć.

Owa żmudna codzienna rutyna przyczyniła się do napadu majaczeń dręczących Mary zimą na przełomie 1794 i 1795 roku. Zapewne ten właśnie epizod miał na myśli koroner. Gazeta „Morning Chronicle" pisała: „Młoda dama już wcześniej [...] postradała zmysły na skutek okrutnego zmęczenia i nadmiaru zajęć"[3]. Charles, zmartwiony i zapewne nękany poczuciem winy, pisał wówczas o chorobie Mary (którą

nazywał „mym aniołem stróżem") Coleridge'owi, ten zaś przekazał mu wyrazy współczucia w wierszu. Sam wiedział, jak to jest kochać i utracić siostrę, która cierpiała na „ukryte choroby serca". We wspomnianym wierszu wysławiał ponadto Mary. Podziwiał jej czułość, mądrość i opanowanie, a więc cechy przywoływane później przez jej rozmaitych przyjaciół:

Jej dusza czuła tak, a przecie mądra,
Dowcip jej błyskotliwy, niby aureola
Co dzieciątka świętego główkę okalała.[4]

Podczas pierwszej choroby Mary Charles cierpiał męki nieodwzajemnionej miłości, najsilniejsze, jakich miał kiedykolwiek zaznać. Frustrację, której nie potrafił dać odpowiedniego ujścia, wyładowywał na siostrze. Napisany przezeń nieco później wiersz wyraża poczucie winy z tego powodu:

Jeśli z mych ust zbyt gniewne słowa wychodziły,
Skargi i cierpkie przygany, to dlatego,
Żem uległ błędom umysłu chorego
Oraz strapieniom, co wody zmąciły
I czystą studnię Rozumu zatruły.

Atak choroby Mary – zapewne częściowo zawiniony brakiem atencji ze strony brata – oraz zawód miłosny Charlesa wpędziły go w „tymczasowe szaleństwo" i „melancholię" pod koniec 1795 roku. W liście do Coleridge'a z 11 czerwca 1796 roku pisał: „Przypływ melancholii znów uderzył i typowe swe szkody wyrządził, odbierając mi rozum". Charles na sześć tygodni dobrowolnie przeniósł się do zakładu dla obłąkanych w Hoxton. Wyszedł w dniu swych dwudziestych pierwszych urodzin.

Melancholię spowodowały nie tylko miłosne cierpienia i trudna sytuacja rodzinna, ale i nieznośna dla początkującego poety perspektywa życia zmarnowanego na pracę w dziale księgowym Kompanii Wschodnioindyjskiej. Charles zdawał sobie sprawę, że za podniecające tygodnie spędzane na rozmowach i piciu z żywiołowym Coleridge'em przychodziło mu zapłacić niepowstrzymanymi zmianami nastroju,

gdy przyjaciel wyjeżdżał. Alkohol, spożywany w dużych ilościach, oraz Coleridge powracali zresztą raz po raz w życiu Charlesa. W późniejszych dekadach XIX wieku zaczął się proces medykalizacji pijaństwa, toteż dziś nawroty depresji nękającej Lamba wiąże się właśnie z alkoholizmem. Poeta często potrzebował kieliszka, by pisać; nadto chętnie zwilżał język, by okropne jąkanie się zelżało nieco, ustępując błyskotliwemu dowcipowi, urzekającemu tak wielu współczesnych.

Tak czy inaczej, „ukryte choroby" Charlesa nigdy już nie zaprowadziły go do domu wariatów. Przestępował jego próg tylko wówczas, kiedy odwiedzał siostrę. Można rzec, że Mary wzięła na siebie szaleństwo całej rodziny. Kto wie, czy na przykładzie ukochanego brata nie nauczyła się tego i owego o pożytkach płynących z obłąkania. Może nawet podpatrzyła u Charlesa pewne zachowania. Wielu lekarzy zwracało wszak uwagę, że szaleństwo daje wtórne korzyści, zapewniając choćby ucieczkę od codzienności. Charles podkreślał to w liście do Coleridge'a, który bynajmniej nie był obojętny na pokusy szaleństwa (i zarazem znał jego koszmar):

> Pewnego razu zdam Ci, ku Twej uciesze, relację (na tyle pełną, na ile mi pamięć pozwoli) o dziwnej formie, jaką przybrało moje szaleństwo. Wspominam ten epizod z ponurą zazdrością, kiedy bowiem trwał, zaznałem wielu, wielu godzin czystego szczęścia. Nie imaginuj sobie, Coleridge, że poznasz cały rozmach i całą dzikość człowieczej fantazji, póki nie zwariujesz! Teraz, w porównaniu, wszystko zdaje mi się bezbarwne i mdłe. [11 czerwca 1796]

Trzy miesiące później Mary wpadła w swój morderczy szał. 21 września 1796 roku jej stan tak bardzo zaniepokoił Charlesa, że nazajutrz z samego rana wybrał się do lekarza, doktora Pitcairna, nie zastał go jednak w domu. Gdy wrócił do Holborn, ujrzał krwawą scenę, której wspomnienia miały towarzyszyć jemu i siostrze do końca życia. 27 września opisał swe straszne przejścia Coleridge'owi. „Naszkicuję tylko ogólny obraz: moja biedna, najdroższa siostra, w ataku obłędu, ściągnęła śmierć na matkę naszą. Dotarłem na miejsce za późno i mogłem jeno wyrwać jej nóż z dłoni. Obecnie Mary przebywa w domu dla obłąkanych i obawiam się, że trzeba ją stamtąd przenieść

do szpitala". Bez ogródek opisywał stan Mary i przyznawał się do lęku, że z prywatnej instytucji mogłaby trafić do publicznej. Sposób, w jaki przedstawił i zinterpretował przypadłość siostry, a także kroki, które poczynił, pozwalają nam ujrzeć moment arcyważnej zmiany w postrzeganiu szaleństwa oraz w funkcjonowaniu związanych z nim instytucji i przepisów.

Rzecz jasna owo postrzeganie zmienia się nieustannie. Rozmaite definicje rywalizują ze sobą, określone przyczyny, objawy, terapie i lekarstwa wysuwają się na pierwszy plan lub tracą na znaczeniu. Niemniej da się wyróżnić pewne dominujące trendy i określić ich chronologię. Przełom XVIII i XIX stulecia w Anglii, kiedy szaleństwo dotknęło samego króla, Jerzego III, to w istocie początek nowej ery.

SZALEŃSTWO I PRAWO

Aż do końca XVIII wieku prawo precedensowe – czyli obowiązujący w Wielkiej Brytanii system tradycji prawnej, kształtujący się stopniowo na podstawie kolejnych wyroków i orzeczeń wydawanych przez sędziów – dawało dwie wzajemnie powiązane możliwości obchodzenia się z przestępstwami popełnionymi przez osoby szalone. Po pierwsze, oskarżeni mogli być uznani za „niezdolnych do przyznania się do winy lub niewinności". W takich przypadkach sędzia i tak miał prawo zdecydować o pozbawieniu wolności. Po drugie, oskarżony mógł zostać postawiony przed sądem, uznany za niepoczytalnego w chwili popełnienia przestępstwa i na tej podstawie oczyszczony z zarzutów. Wybitny jurysta sir William Blackstone w dziele *Commentaries on the Laws of England* [Komentarze do praw Anglii] (1765–1769) podawał ogólne wytyczne odnośnie do tego, jak traktować osoby, „co nie w pełni pojmują", chociażby dzieci albo wariatów, których nie można pociągać do odpowiedzialności za ich czyny, nawet jeśli chodziłoby o zdradę stanu i inne najcięższe zbrodnie.

Latem 1786 roku Margaret Nicholson próbowała ugodzić króla Jerzego III tępym nożem deserowym. Podobnie jak Mary Lamb, nigdy nie stanęła przed sądem – miast tego król polecił swym gwardzistom: „Zaopiekujcie się tą niewiastą, a nie zróbcie jej krzywdy, bo jest szalona"[5]. Nicholson została zbadana przez doktorów Johna i Thoma-

sa Monro, ojca i syna, których rodzina od 128 lat prowadziła szpital Bethlem. Kobietę umieszczono tam później decyzją Tajnej Rady.

Kiedy Charles Lamb bał się, że jego ukochana siostra trafi do publicznego szpitala, miał na myśli właśnie Bethlem, szerzej znane jako Bedlam, jeden z najstarszych ośrodków psychiatrycznych w Europie. Powstał w XIII wieku, w 1547 roku władze Londynu przejęły nad nim nadzór i prowadziły placówkę przez następne cztery stulecia, do roku 1948[6]. Pod koniec XVIII wieku w Anglii działało niewiele szpitali prowadzonych przez instytucje charytatywne, Bedlam natomiast pozostał jedynym szpitalem publicznym. Istniały tam zarówno oddziały dla biedaków, jak i dla prywatnych pacjentów. Silnie oddziaływał przy tym na wyobraźnię ludzi i stanowił nie lada atrakcję: każdej niedzieli zjeżdżali się tam gapie, pragnący popatrzeć sobie na wariatów, przedstawionych skądinąd w ostatnim epizodzie cyklu *Kariera rozpustnika* Williama Hogharta, w którym malarz uczynił obłąkanych, majaczących, rozwrzeszczanych pacjentów metaforą całego brytyjskiego społeczeństwa.

W 1758 roku, trzydzieści osiem lat przed zbrodnią Mary Lamb, William Battie, założyciel konkurencyjnej placówki St. Luke's, ostro skrytykował Bethlem w swoim wpływowym dziele *A Treatise on Madness* [Traktat o szaleństwie]. Battie był pierwszym orędownikiem prowadzenia rzetelnych badań w dziedzinie, która, jak uważał, pogrążyła się w stagnacji, gdyż pozostawiono ją niewykształconym „empirykom". Atakował „szokujące" i terapeutycznie nieskuteczne metody rodziny Monro, choćby praktykowane przez nich puszczanie krwi, wywoływanie wymiotów i aplikowanie na skórę substancji powodujących powstawanie bolesnych bąbli[7]. Rodzina Monro broniła się przed zarzutami, lecz na próżno, gdyż w rzeczywistości w ich placówce nie stosowano żadnych systematycznych terapii z prawdziwego zdarzenia. Bethlem było istnym domem grozy, gdzie szaleńców traktowano niczym wściekłe bestie. Matka wybitnego malarza J.M.W. Turnera została tam umieszczona w 1800 roku i zmarła cztery lata później. Anonimowy poeta pisał:

W izbach, na których kopuła ta się kładzie,
Rządzą szał, obłęd i umysł w nieładzie [...]

Szarpią kajdany, jeno kłamstwa prawią,
Ślinią się, wrzeszczą, niebiosa plugawią[8]

Charles Lamb nie chciał, by jego najdroższa siostra Mary trafiła do takiego przybytku. Ona sama jeszcze przed zabiciem matki wyrażała obawy, że tam skończy. Groziła jej też szubienica w Newgate.

Znalazłszy się na miejscu zbrodni i ujrzawszy martwą matkę, rannego ojca oraz zakrwawioną siostrę z nożem w dłoni, Charles natychmiast wziął sprawy w swoje ręce. Mary zabrano do szpitala dla obłąkanych w Islington. Koroner i przysięgli, którzy nie mieli wydać wyroku, a jedynie ustalić fakty, uznali sprawczynię za niepoczytalną. Zgodnie z obowiązującymi przepisami szaleńcy, którzy dopuścili się zbrodni, mogli zostać wypuszczeni z zakładu zamkniętego, „jeżeli w ramach zabezpieczenia zostaną objęci odpowiednią opieką"[9]. Mówiąc inaczej, wyjście Mary na wolność zależało od tego, czy znajdzie się odpowiednio wiarygodna osoba, która zagwarantuje jej albo pobyt w prywatnej instytucji, albo nadzór w domu.

Decyzja w tej sprawie należała do koronera, Charles stanął więc przed nowym wyzwaniem. Miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, nie był więc pewien, czy zostanie uznany za osobę mogącą zapewnić „zabezpieczenie", szczególnie ze względu na swą trudną sytuację finansową. Szybko umieścił Mary w szpitalu dla obłąkanych, by uprzedzić niekorzystny wyrok. Bez wątpienia przydatne okazały się ponadto jego własne szpitalne doświadczenia. Jest też pewne, że właśnie Charles poinformował koronera, że Mary już wcześniej zdarzały się ataki manii. W tamtych czasach istniały już pewne utarte poglądy w kwestii tego, czym jest szaleństwo i jakimi rządzi się prawami – a nawroty zdecydowanie uważano za dowód obłąkania.

Prawo, dzięki któremu Mary mogła zostać oddana pod opiekę, zostało zmienione i zaostrzone w roku 1800 po tym, jak król (nazywany przez Shelleya „starym, ślepym, zdychającym, obłąkanym"[10]) znów przeżył próbę zamachu. Doszło do tego na premierze *Wesela Figara*, opery, w której jak na ironię wszelkie hierarchie zostają postawione na głowie. James Hadfield, były żołnierz, wycelował w Jerzego III z dwóch pistoletów i wypalił; chybił ledwie o parę cali. Jego adwokat Thomas Erskine, który skądinąd bronił też rewolucjonisty Thomasa Paine'a,

zaproponował podczas procesu odróżnienie obłędu, utożsamianego w zasadzie ze wściekłą manią, od innej, nieco subtelniejszej przypadłości. Owszem, przekonywał, gdyby zastosować tak zwany test dzikiej bestii, Hadfield nie zostałby uznany za szaleńca. Ale przecież ów test opierał się na przesadnie uproszczonej definicji, zakładał bowiem, że osoba obłąkana zostaje dotknięta zupełną utratą pamięci i niepoczytalnością. Według Erskine'a Hadfield nie spełniał wprawdzie tych kryteriów, lecz i tak był szalony. „Szaleńcy często zdają się w pełni swych sił i władz, są opanowani, choćby akurat trwali w najgorszych paroksyzmach obłędu"[11]. Żołnierz strzelił do króla, bo miał urojenia – a właśnie one stanowią istotę szaleństwa. Prawnik posługiwał się psychologiczną terminologią zapożyczoną od Johna Locke'a. Odniósł sukces i wybronił Hadfielda, powołując się na jego niepoczytalność, mimo powagi czynu. Odtąd zarówno w prawie, jak i w społecznej świadomości zakorzeniła się nowa, bardziej subtelna definicja obłędu.

Uwolnienie Hadfielda, który uniknął powieszenia, wypatroszenia i poćwiartowania, czyli kary wymierzanej za zdradę, było pod pewnym względem rzeczą niezwykłą. Jego proces toczył się wszak w epoce terroru i wojen niepodległościowych. W sąsiednim kraju obalono krótko wcześniej monarchię i wysłano króla na gilotynę. Z drugiej strony, skoro przemoc stanowiła wówczas stały element politycznego pejzażu, może było lepiej i wygodniej uznać, że zamachu na władcę Anglii dopuścił się szaleniec, a nie rewolucjonista. Trzeba też pamiętać, że sam Jerzy III wiedział co nieco na temat obłędu.

Orzeczenie sądu, do którego przyczyniła się argumentacja Erskine'a, ukazało jednak istotną lukę w prawie. Zapewniła ona Mary Lamb względną swobodę. Oto człowiek uznany za szaleńca, sprawca zamachu na króla, mógł wkrótce wyjść na wolność. Parlament w ekspresowym tempie przyjął więc *Ustawę o powierzeniu w opiekę szaleńców oskarżonych o ciężkie przewinienia*. Każdy, komu postawiono zarzut „zdrady stanu, morderstwa lub poważnego przestępstwa", a kto uniknął kary wskutek uznania za obłąkanego, miał być trzymany w zamknięciu do czasu, gdy Jego Królewska Mość nie zdecyduje o uwolnieniu. Hadfield (notabene żyjący z niezagojoną raną głowy tak dużą, że podczas procesu przysięgli zostali poproszeni o obejrzenie z bliska jego opony mózgowej) trafił natychmiast do Bethlem, gdzie spędził resztę

życia i gdzie zabił później innego pacjenta. Faktycznie, był człowiekiem niebezpiecznym.

Na mocy nowych przepisów przyjętych w 1800 roku Mary Lamb, która nigdy już nie posunęła się do przemocy, nie mogłaby się cieszyć swobodą, choćby nawet brat zobowiązał się nią zaopiekować i choćby dziesiątki prywatnych szpitali psychiatrycznych pragnęły przyjąć ją pod swój dach.

SZPITALE DLA OBŁĄKANYCH W EPOCE GEORGIAŃSKIEJ

Prywatny szpital dla obłąkanych, mały czy duży, był instytucją charakterystyczną dla Anglii, kwitnącą dzięki nieregulowanej osiemnastowiecznej gospodarce. Mniejsze placówki często zaczynały jako nieformalne miejsca, w których zapewniano szaleńcom wikt i opierunek. Miejscowy lekarz, pastor albo wdowa przyjmowali pod swój dach obłąkanego, który nie mógł dłużej mieszkać z rodziną, bo był niebezpieczny, siał zgorszenie, zakłócał porządek albo należało go gdzieś ukryć w obawie przed plotkami. Odrobinę większe zakłady, w których przebywało od tuzina do dwudziestu osób, przynosiły całkiem niezły dochód, toteż na prowincji działało ich bardzo dużo. Nawet największe placówki, jak choćby Hoxton House, gdzie ostatecznie trafiła Mary Lamb, rzadko kiedy przyjmowały więcej niż dwustu pacjentów. W 1826 roku, kiedy pojawiły się pierwsze ogólnokrajowe statystyki, w całej jedenastomilionowej Anglii w takich zakładach przebywało niespełna pięć tysięcy ludzi[12]. To tyle co nic, jeśli wziąć pod uwagę, że w 1900 roku w zaledwie dwóch londyńskich szpitalach psychiatrycznych, Colney Hatch i Hanwell, było 4800 łóżek, a w publicznych placówkach w całym kraju 74 tysiące[13].

Ponieważ krewni woleli utrzymywać rzecz w tajemnicy, rzadko kiedy prowadzono księgi i rejestry, póki w roku 1774 nowa ustawa nie wprowadziła „licencji" i podstawowych regulacji dla szpitali przyjmujących obłąkane osoby. Misja polegała na izolacji szaleńców, a nie na ich leczeniu. Zdarzały się placówki, w których nie pracowali żadni lekarze. Ten stan rzeczy utrzymywał się również po 1796 roku, kiedy kwakier, handlarz herbatą i filantrop William Tuke założył słynny York Retreat, gdzie praktykowano terapię moralną. Szaleństwo miało

z czasem stać się problemem medycznym, lecz proces ten dokonywał się bardzo powoli.

Niezależnie od prowadzenia lub nieprowadzenia terapii warunki panujące w szpitalach dla obłąkanych niepokoiły opinię publiczną, aż wreszcie sprawą zajął się rząd. Przez cały XVIII wiek placówki szukające klientów reklamowały się, zapewniając, że ich oferta nie sprowadza się bynajmniej do kajdan i brutalnej dyscypliny. Orędownicy nowych, lepszych szpitali, choćby William Battle, założyciel St. Luke's w Londynie, podkreślali, że szaleńców trzeba otaczać troską i obchodzić się z nimi łagodnie. Użycie siły uważali za rzecz wstrętną[14]. Wobec panującej na rynku konkurencji szpitale ubiegające się o lepsze klientki musiały przekonać ich bliskich, że o nie zadbają. Na podstawie wspomnianych reklam i rozmaitych pism możemy bez trudu odtworzyć ideał szpitala dla obłąkanych: czystość, odpowiednio wysoka temperatura, przyjemny ogród, dobre kominki, mięso i napitki, prywatność oraz rozrywki, a nade wszystko uprzejmość i wizyty prywatnego lekarza.

W rzeczywistości rzadko kiedy trafiały się takie warunki, rozpowszechnione były natomiast łańcuchy i inne formy krępowania ruchów, brutalne traktowanie oraz kradzieże, których dopuszczali się opiekunowie. Dochodziły też brak higieny osobistej, brudne pomieszczenia, fatalne warunki sanitarne oraz gwałty i pobicia. Biedacy, za których pobyt płaciła parafia, cierpieli znacznie bardziej niż pacjenci prywatni – ci przecież byli regularnie odwiedzani przez bliskich, toteż personel musiał przynajmniej zachowywać pozory.

Powszechną rzeczą było czerpanie korzyści przez opiekunów. Starczyła niewielka łapówka, a pacjent lub pacjentka trafiali do zamkniętego zakładu na długo, nawet kiedy szaleństwo ustępowało. O ile w ogóle byli szaleni: zdarzało się, że personel szpitali w porozumieniu z rodzeństwem lub rodzicami uprowadzał w pełni zdrowych na umyśle, lecz problematycznych krewnych, na przykład, jeśli dysponowali oni kuszącą fortuną. Buntownicze kobiety w rodzaju bohaterki nieukończonej powieści Mary Wollstonecraft *Maria: or, the Wrongs of Woman* [Maria albo kobiece przewiny], z której lubieżny mąż pijak czynił swą niewolnicę seksualną, mogły trafić do szpitala i znaleźć się w tak przerażającej sytuacji, że wreszcie zaczynały wątpić, czy są trzeźwe na umyśle.

Charles Lamb przejął po siostrze rolę osoby odpowiedzialnej za dobrobyt rodziny. Zdołał przekonać starszego brata, by nie wysyłać Mary na oddział dla biedaków. Zebrał też niemałą kwotę (wynoszącą około 50–60 funtów), by opłacić jej roczny pobyt w prywatnym pokoju w szpitalu w londyńskim Islington pod opieką pielęgniarki. Prawdopodobnie Mary trafiła do Fisher House mieszczącego się przy obecnej Essex Road.

Lamb pisał do Coleridge'a, że kobiety opiekujące się jego siostrą „wielce ją rozpieszczały" i traktowały jak „krewną, a nie pacjentkę". „Dobra pani, co prowadzi szpital i jej córka, elegancka młoda dama o słodkim usposobieniu, kochają Mary i wielce są nią zachwycone, o czem sama mi mówiła. Ona też je pokochała i rada jest, że może spędzać z nimi czas". Właścicielka placówki przekonała Lamba, by zrezygnował z usług lekarza oraz aptekarza i zaoszczędził nieco pieniędzy.

Nie wiadomo, jakiego rodzaju terapię przeszła Mary – jeśli w ogóle ją leczono. W tamtych czasach istniało wiele metod. Służyły one głównie łagodzeniu szału i manii, „ochładzaniu" zgodnie z dominującą wciąż teorią humoralną i przyjętym w niej sposobem rozumienia relacji ciało–umysł. Praktykowano na zmianę zimne i gorące kąpiele oraz obcinanie włosów, by schłodzić głowę. Podawano opium lub wyciąg z naparstnicy i puszczano krew. Wszystkie te środki mogły zostać zastosowane w przypadku Mary. Jakkolwiek było, wkrótce „wrócił jej rozum".

„Moja biedna, najdroższa siostra, nieszczęsne i nieświadome narzędzie, którym Wszechmogący posłużył się, sądząc rodzinę naszą, odzyskała zmysły" – pisał Charles do Coleridge'a 3 października 1796 roku, a więc niespełna dwa tygodnie po morderstwie. Zdawał sobie chyba sprawę, że nastąpiło to wyjątkowo szybko, dodawał bowiem, że zarazem

> Odzyskała straszne wspomnienia, jakże dla niej okropne i dotkliwe (a będzie tak do końca życia), uśmierzone jednak nieco dzięki oddaniu się wierze oraz trzeźwej ocenie, albowiem już teraz potrafi odróżnić czyn popełniony w napadzie szału od straszliwej zbrodni matkobójstwa. Widziałem się z nią. Znalazłem ją tego ranka spokojną i łagodną, lecz daleką od nieprzystojnej obojętności, jaką dałoby zapomnienie.

> Przeciwnie, przejmuje się wielce tym, co zaszło. Od samego początku, choć jej stan zdawał się beznadziejny, nie traciłem wiary w jej siłę umysłu i w jej religijną prawość. Czekałem tedy, aż odzyska spokój.

DZIECIŃSTWO I JEGO ZABURZENIA

Dwa tygodnie później Charles znowu pisał do Coleridge'a na temat swej siostry. Ów list pod jednym osobliwym względem przywodzi na myśl współczesne koncepcje psychologiczne: Lamb, niczym proto-Freud albo proto-Winnicott, wyraźnie szukał przyczyn choroby Mary w okresie dzieciństwa. Sama Mary w rozmowie z Charlesem wyraża nadzieję, że ich matka i babka zrozumieją ją lepiej, znalazłszy się w niebie. Szczególnie babka nękała dawniej Mary, wyklinając wciąż jej „nieszczęsny, szalony, zmącony" umysł – i tym samym nakręcała mechanizm samospełniającej się przepowiedni. Charles podkreśla, że niezaznanie macierzyńskiego ciepła przyczyniło się do obłędu siostry, szczególnie że Mary z przesadną gorliwością traktowała swe obowiązki względem rodziców.

> Biedna Mary! Moja matka nigdy jej tak naprawdę nie rozumiała. Kochała ją jako nas wszystkich macierzyńską miłością, lecz w sądach swych, uczuciach i postawach tak mało przypominała swą córkę, że nigdy nie potrafiła jej zrozumieć. I nie widziała też, że Mary ją kocha. Zbyt często jej pieszczoty i zapewnienia o córczynej miłości przyjmowała chłodno lub odrzucała. [...] Brata mego zawsze kochała bardziej, choć nie był on wart i dziesiątej części uczucia, na które zasługiwała Mary. Dobrze tedy, że siostra ma świadomość, że ilekroć mogła spełnić swój obowiązek i dowieść matce swej miłości, ilekroć mogła uczynić gest miły, zawsze to czyniła, nie bacząc na własne dolegliwości i choroby (a sam widziałem, jak bardzo odbijało się to na jej zdrowiu i prawdopodobnie przyczyniło się do pomieszania zmysłów). [17 października 1796]

Chłodna, nieczuła matka, odtrącona córka, dzieciństwo sprzyjające przekonaniu, że jest się osobą niespełna rozumu, wewnętrzny konflikt – oto tło powracającej choroby Mary. Zaskakujące, jak łatwo

to samo wyjaśnienie dałoby się przedstawić na gruncie teorii Freuda albo postfreudowskich koncepcji etiologii chorób psychicznych, choć naturalnie Charles nie wspomina o edypalnym gniewie.

To nie koniec. Za życia Mary żadne jej dzieła nie mogły ukazać się pod jej własnym nazwiskiem z powodu popełnionego morderstwa, lecz współpracowała ona z Charlesem, nie tylko pisząc *Opowieści Szekspira*, ale i opowiadania dla dzieci *Mrs. Leicester School* [Szkoła pani Leicester] wydane w 1808 roku. Wszystkie te opowiadania z wyjątkiem trzech wyszły spod pióra Mary, aczkolwiek każde pod innym pseudonimem. Stanowią dowód, że Mary z wielką łatwością wczuwała się w dziecięcych bohaterów; ponadto często powtarza się motyw relacji matka–dziecko, powodującej u tego ostatniego rozmaite frustracje, gniew i rozczarowania.

Opowiadanie *Mahomet Explained* [Mahomet wyjaśniony], wydane pod pseudonimem Margaret Green, bazuje być może na pewnych wydarzeniach z dzieciństwa samej Mary. Spędzała ona wiele czasu w dużej wiejskiej posiadłości ze świetnie wyposażoną biblioteką (posiadłością tą zajmowała się babka Lambów). Mała bohaterka opowiadania jest bardzo samotna. Nikt z nią nie rozmawia; matka oraz pani domu wymieniają tylko parę słów przy śniadaniu, po czym przez resztę dnia oddają się „robótkom ręcznym". Dziecko, pozostawione samo sobie, odkrywa zakazaną bibliotekę i dziwną księgę zatytułowaną *Mahomet Explained*. Zagłębia się w opowieść o Abrahamie, Izmaelu i Mahomecie. Czyta ją w tajemnicy raz po raz. „Dlatego bodajże nigdy się do mnie nie odzywano, zapomniałam, co dobre, a co złe", stwierdza narratorka. Zniewalający czar opowieści, powtarzająca się zakazana lektura oraz samotność i porzucenie sprawiają, że dziewczynka zaczyna mylić książkową historię z rzeczywistością. Sądzi, że stała się Prawdziwą Wyznawczynią Mahometa, zaś ci, którzy takimi wyznawcami nie są, nie będą mogli przejść po „jedwabnym wątku" do zaświatów i zamiast tego trafią do „czeluści bez dna". Pragnie ostrzec przed tym matkę i panią domu, lecz ogarnia ją lęk i nie chce się przyznać do korzystania z biblioteki.

Trawiona lękiem, rozdarta między pragnieniem nawrócenia i ocalenia matki a obawą przed wyznaniem prawdy, dziewczynka dostaje gorączki. W końcu opowiada dorosłym całą historię, lecz matka,

która na czas choroby przenosi się do jej pokoju, sądzi, że to tylko „majaczenie", i posyła po lekarza. Szaleństwo ma tu realny charakter, a zarazem sprowadza się do nieporozumienia. Dziewczynka długo nie chce zdradzić swego sekretu, a zarazem możemy podejrzewać, że jej fantazja o matce trafiającej do „czeluści bez dna" wynika po części z chęci zemsty za obojętność. Ostatecznie dziecku pozostaje tylko jedno: majaczenie.

Przyjeżdża dobry pan doktor i dzięki jego pytaniom udaje się ustalić prawdę: dziewczynka pod wpływem lektury nabawiła się „mahometańskiej" gorączki. Wystarczy podać lekarstwo i zalecić odpoczynek. Kiedy temperatura spada, lekarz zabiera dziewczynkę do swojej żony, która ma doświadczenie w podobnych przypadkach. Ta okazuje się wspaniałą matką. Więcej, prowadzi terapię miłością, rozmawiając z dziewczynką i okazując jej uczucie. Zamiast dalej podawać jej leki, zabiera ją do wesołego miasteczka. Widok radosnych ludzi i rozpieszczanie czynią cuda. Po miesiącu u „zastępczych rodziców", którzy sprowadzają do domu rówieśników dziewczynki, żeby miała się z kim bawić, dziecko wraca do prawdziwej matki zupełnie wyleczone.

W opowiadaniu pobrzmiewają echa dzieciństwa Mary. Oczywiście wspominając je po latach, miała świadomość tego, czego w nim zabrakło. Uważała, że brak uczucia ze strony matki przyczynił się do jej własnych „majaczeń". Nieprzypadkowo obsesyjnie wykonywaną pracą, która sprawia, że matka i pani domu z opowiadania ignorują małą bohaterkę, są robótki ręczne. Wszak dorosła Mary trudniła się szyciem, aż wreszcie przemęczona i przepracowana dostała ataku szału i zabiła matkę, a uświadomiwszy sobie swój czyn, trafiła do „czeluści bez dna".

W 1815 roku pięćdziesięcioletnia Mary Lamb opublikowała na łamach „The British Lady's Magazine" artykuł *On Needlework* [O robótkach ręcznych]. Posłużyła się pseudonimem „Sempronia" (tak nazywała się postać z satyrycznego czasopisma „The Tatler", prawdziwa drapieżnica wśród swatek, wydająca kobiety za mąż bez jakiegokolwiek baczenia na ich przyszły dobrostan). Ostro potępiła robótki; określiła je mianem zajęcia, które sztucznie absorbuje uwagę kobiet z klasy średniej, pozbawionych innych możliwości zarobku. Powiada się, pisała, że bezczynność jest matką wszelkiego zła – i dlatego właś-

nie kobiety szyją, by nie oddawać się lenistwu. W istocie jednak stają się niewolnicami. „Szycie i robótki z natury kłócą się z rozwojem intelektu". Mary pisała o kondycji kobiet z pasją, podobnie jak niemal współczesna jej autorka Mary Wollstonecraft. Jej artykuł zapowiadał też późniejsze teksty Virginii Woolf. Nie było żadnych siedemnastowiecznych poetek, zauważała Woolf, bo „siostra Szekspira" musiała przez cały czas zajmować się cerowaniem pończoch albo gotowaniem. Mary Lamb żyła w przekonaniu, że jej matka większą wagę przywiązywała do szycia i robótek ręcznych niż do własnej córki.

Owa opowieść o dzieciństwie i obłędzie jest interesująca z kilku powodów. Przede wszystkim doświadczenie dziecięcego szaleństwa wiąże się tu z pomieszaniem idei. Mała dziewczynka wyciąga zbyt daleko idące wnioski z lektury książki zawierającej podstawowe informacje na temat Mahometa (zresztą książki, w której brakuje stron) i zaczyna błędnie postrzegać rzeczywistość. Taki obraz szaleństwa bez wątpienia wiele zawdzięcza koncepcjom Johna Locke'a. Jego dociekania poświęcone stanom umysłu przyczyniły się do powstania we Francji psychiatrii „teoretycznej". Pisząc o szaleństwie, Locke odszedł od dawnych koncepcji religijnych i od starożytnych paradygmatów, które zyskały nowe życie w okresie renesansu. Nie traktował obłędu jako skutku opętania ani jako kary spotykającej grzeszników. Przyczyną nie było też według niego postradanie zmysłów pod wpływem nadmiaru namiętności – czy to świętych, czy nieczystych. Nadto Locke twierdził, że szaleństwo nie jest ani dziedziczne, ani w ogóle nie ma biologicznego charakteru. Pod wpływem jego rozważań w XVIII wieku coraz silniej rozpowszechniał się pogląd, że obłęd to kwestia fałszywych idei.

W *Rozważaniach dotyczących rozumu ludzkiego* z 1690 roku Locke wprowadza rozróżnienie na obłąkanych i „idiotów", czyli osoby upośledzone od urodzenia. Jeśli chodzi o tych pierwszych, „nie wydaje mi się [...], iżby stracili oni zdolność rozumowania, lecz raczej, łącząc ze sobą pewne idee całkiem opacznie, biorą je mylnie za prawdę; błądzą więc tak jak ludzie, którzy trafnie rozumują, wychodząc z fałszywych zasad"[15]. To wielce optymistyczny obraz szaleństwa. Dopuszcza się możliwość wyleczenia, a ponadto wprowadzona zostaje koncepcja rozumowania (czyli odróżniania fałszu od prawdy) wspólnego dla wszystkich ludzi, zarówno zdrowych na umyśle, jak i obłąkanych.

Dziewczynka z opowiadania Mary przeżywa doświadczenie szaleństwa jak z Locke'a. Ale fakt, że dorosła Mary Lamb, pisarka, która niegdyś była ową dziewczynką, uważa swe dziecięce przejścia za godne przypomnienia oraz, w pewnym sensie, pragnie nam ukazać ich genezę i „lekarstwo", stawia całą rzecz w nieco innym świetle. Obecnie istnienie związku między doświadczeniami z dzieciństwa a zaburzeniami w dorosłości uważamy za rzecz oczywistą, naturalną, lecz dla ludzi z końca XVIII wieku oraz dla przedstawicieli romantyzmu była to myśl zupełnie nowa. Richard Burton w swoich wielotomowych encyklopedycznych rozważaniach o szaleństwie, noszących tytuł *Anatomia melancholii* (1652), wymieniał wszelkie czynniki mające jego zdaniem wpływ na uczucie smutku i apatii. Nie wspominał jednak, że dziecko jest pod wieloma względami ojcem dorosłego, nie szukał też przyczyn melancholii we wczesnych doświadczeniach.

Wszystko zmieniło się dopiero wówczas, gdy na scenę wdarli się Jean-Jacques Rousseau i romantycy. Dzieciństwo, edukacja i stosunki między rodzicami a ich potomstwem zyskały pierwszorzędne znaczenie. Biorąc to pod uwagę oraz mając na względzie ich osobiste doświadczenia, nie jest chyba zaskakujące, że choć Charles i Mary sami nigdy nie mieli dzieci, uwielbiali spędzać czas ze swymi chrześniakami, a ponadto pisali książki dla najmłodszych czytelników. Przybliżali im Szekspira, by w ten sposób ich edukować. Charles stanowczo podkreślał, że kształtowanie dziecięcej wyobraźni jest równie ważne jak kształcenie umysłów. Deformującej – odkształcającej – przeszłości można zaradzić w kolejnych pokoleniach.

SZALEŃSTWO, NERWY I WRAŻLIWOŚĆ

W eseju *Christ's Hospital Five and Thirty Years Ago* [Christ's Hospital przed trzydziestu pięciu laty] Charles Lamb, kryjąc się za swym najbardziej popularnym pseudonimem „Elia", wspominał czasy szkolne. Ówczesne zabawy „wywołałyby uśmiech na twarzach Rousseau i Johna Locke'a, gdyby mogli nas zobaczyć". Zestawienie owych dwóch myślicieli jest istotne. W epoce Lamba język mówienia o doświadczeniach zmysłowych zapożyczony od Locke'a został zmieszany z językiem mówienia o wyobraźni i pamięci (dzięki którym odzyskuje się

dzieciństwo) zapożyczonym od Rousseau. Przeżywanie uczuć, również skrajnych, stało się bardzo ważne, podobnie jak ich analiza. Narodził się nowy język emocji, a szaleństwo przeszło przemianę. Skrajne namiętności potraktowano jako stany wspólne dla wszystkich ludzi. Wybuchy rewolucyjnej gorączki lub próba zamachu na króla zaczęły stanowić kwestię wartą namysłu, fascynującą dla młodych, radykalnych intelektualistów.

Byron w *Wędrówkach Childe Harolda* wysławiał „dzikiego Rousseau". Pisał o nim: „Apostoł bólu, co żądzę odziewał / w cudowne piękno"[16]. Dodawał, że „sofista" Rousseau w urok ubrał szaleństwo. W 1766 roku David Hume sprowadził Rousseau do Anglii (wcześniej wypędzono go z Francji i Szwajcarii). Filozof otrzymał dom w Wooton w Staffordshire, a król Jerzy III przyznał mu stały dochód w wysokości stu funtów rocznie. (Rousseau korzystał ze szczodrości władcy tylko przez rok). Właśnie wtedy zaczął pisać *Wyznania*. W pierwszej księdze wspomina, że od bardzo młodego wieku z łatwością przychodziło mu czytanie i „dzięki tej niebezpiecznej metodzie posiadłem w krótkim czasie [...] niezwykłą na mój wiek inteligencję uczuć. Nie miałem najmniejszego pojęcia o rzeczach, kiedy wszystkie uczucia były mi znajome. Nic nie pojmowałem, a wszystko już czułem" – co przywodzi na myśl małą bohaterkę opowiadania *Mahomet Explained*.

W tej samej księdze *Wyznań* Rousseau rozważa wpływ wymierzonych mu w dzieciństwie kar na jego dalsze życie. Wspomina choćby, jak zbiła go siostra pastora, w którego domu został umieszczony. „Któż by uwierzył, że ta dziecinna kara, otrzymana przez ośmioletniego chłopca z rąk trzydziestoletniej panny, rozstrzygnęła o mych upodobaniach, pragnieniach, namiętnościach, o mnie całym, na całe życie, i to właśnie w kierunku przeciwnym temu, który, naturalnym sposobem, powinien by stąd wynikać?". Rousseau pragnął odtąd upokorzeń i otwarcie wyznawał, że skłonność ta wzięła się z zaznanej w dzieciństwie kary.

Kiedy zaś zbił go wuj, miało to inne, lecz równie kształtujące skutki. Tym razem lanie spuszczono mu za kradzież, której Rousseau nie popełnił. Wydarzenie to odcisnęło na nim wyraźne piętno i uczyniło go orędownikiem sprawiedliwości.

> Czuję, pisząc to, dziś jeszcze, że puls wali mi jak młotem; te chwile będą mi zawsze przytomne, choćbym żył sto tysięcy lat. To pierwsze zetknięcie z gwałtem i niesprawiedliwością pozostało tak głęboko wyryte w mej duszy, że sama myśl o tym wprawia mnie w dawne wzruszenie. Uczucie to, zrodzone zrazu z pobudek osobistych, takiej nabrało mocy i tak oderwało się od osobistego interesu, iż serce moje rozpala się od widoku lub opowieści niesprawiedliwego postępku, na kimkolwiek i gdziekolwiek popełnionego, tak jakbym sam był jego ofiarą.[17]

W ujęciu Rousseau dzieciństwo nieodwołalnie kształtuje dorosłego – również jego seksualność. Sposób, w jaki Charles i Mary postrzegali szaleństwo, oraz rola, jaką odgrywają w jego przypadku dziecięce doświadczenia, świadczy, że byli zanurzeni w nowej kulturze romantyzmu, rozwijającej się pod wpływem Rousseau. Można się domyślać, że Charles nie tyle tolerował „obłęd" siostry, ile wręcz szanował go i się z nim utożsamiał, a to za sprawą własnych napadów melancholii i bliskiej relacji łączącej go z Mary. Podobnie rzecz miała się z innymi osobami z kręgu rodzeństwa Lambów – świadczą o tym chociażby uwagi Coleridge'a i Williama Hazlitta na temat Mary oraz jej korespondencja z Dorothy Wordsworth. Wszyscy oni jej współczuli. Dopuściła się niewyobrażalnej zbrodni, gotowi byli jednak przyjąć ją do swego grona i traktować jak równą.

Oczywiście nie należy wyciągać ogólnych wniosków na temat całej epoki na podstawie pojedynczego przypadku, ale pewne sprawy są absolutnie ewidentne. Osiemnaste stulecie było wiekiem rozumu, a nerwowość i wrażliwość uważano za cechę związaną z przynależnością klasową. Jedynie „ci o szczególnie żywej i bystrej naturze, których zmysły są lotne i uduchowione, a umysł przenikliwy i ostry", mają skłonność do zaburzeń nerwowych, od melancholii począwszy, a na hipochondrii skończywszy[18]. Tępaków rzeczy te nie dotyczą. Doktor George Cheyne, autor dzieła *The English Malady* [Angielska choroba] z 1733 roku, utrzymywał, że najbardziej wyrobieni i wrażliwi przedstawiciele rozwijającej się klasy średniej, mający szczególnie dużo czasu wolnego, cierpią na spleen, na zaburzenia wyobraźni i rozmaite nerwowe przypadłości. Nerwy stanowiły wówczas zupełnie nowy obiekt zainteresowania medycyny, uchodziły za tajemniczego posłańca

przesyłającego komunikaty między umysłem a ciałem i najwyraźniej odpowiedzialnego za wiele nie do końca zdefiniowanych chorób. Pośród wilgotnych brytyjskich mgieł, w miastach „rozrośniętych, a przeto niezdrowych", a do tego skoro „we wszystkich sztukach twórczych i wynalazczych, w badaniach, nauce, w działalności kontemplacyjnej dąży się do wyjścia poza to, co było dawniej", nerwy były wyjątkowo narażone na „anomalie".

Dopiero w XVIII wieku stało się możliwe „chorowanie na nerwy". Nie znajdziemy podobnego określenia u Szekspira; dla niego słowo *nervy* było skoligacone z „silny". Natomiast począwszy od czasów Cheyne'a, słabe nerwy zaczęły uchodzić za oznakę wrażliwości i kulturowej wyższości. Doktor Samuel Johnson umieścił hasło „nerwowy" w swoim słowniku. Co prawda z nutką dezaprobaty opatrzył je komentarzem „żargon medyczny", podał jednak definicję: „Mający nerwy słabe lub chore". W listach Lambów pojawiają się swobodnie rzucane wzmianki o „słabych nerwach" Mary. Charles pisze o „smutnym przygnębieniu ducha i zupełnie niezrozumiałej nerwowości" oraz o tym, że on i jego siostra mają „nerwowe umysły"[19].

Cheyne, wzięty lekarz praktykujący w Londynie i w Bath, zwracał uwagę, że rozwój cywilizacji dokonuje się kosztem pewnych cierpień. (Podobną tezę stawiał Freud przeszło półtora stulecia później). W jego czasach poczęły rozprzestrzeniać się rozmaite trudne do zdiagnozowania choroby, zwłaszcza wśród wrażliwych niewiast. Pacjentki i ich bliscy pragnęli znaleźć jakąś fizjologiczną przyczynę, ale żadnej nie udało się wskazać – z wyjątkiem zaburzeń nerwów, których działanie pozostawało wciąż tajemnicą. Mimo to Cheyne właśnie do tego się odwoływał. Szukał źródła choroby w ciele i tym samym zrywał z ujęciami szaleństwa odziedziczonymi po siedemnastowiecznych lekarzach i myślicielach. Nerwowe anomalie nie miały dla londyńskiego doktora nic wspólnego z „czarownictwem, urokami, magią czy opętaniem" – te uważał za „wyjaśnienia dobre dla ignorantów"[20].

George Cheyne (1691/3–1743) był niezwykłym lekarzem, również dlatego, że tak wiele nauczył się na własnym przypadku. Mając dwadzieścia kilka lat, przeżył załamanie nerwowe. Przyszedł do siebie dzięki mieszance gnostycyzmu Jakoba Böhmego, ascezy zalecanej przez mistyczki w rodzaju Antoinette Bourignon czy Jeanne Guyon oraz die-

ty opartej na mleku. Zdołał odtworzyć swą praktykę lekarską w uzdrowisku Bath i w Londynie. Z czasem pozyskał wpływową klientelę. Leczyli się u niego córka premiera Roberta Walpole'a Catherine oraz powieściopisarz i drukarz Samuel Richardson, którego dzieło *Sir Charles Grandison* odegrało później arcyważną rolę w rozwoju psychiatrii we Francji. Cheyne stworzył też serię książek, które można określić mianem pierwszych medycznych poradników. Stały się one bestsellerami. Lekarz prezentował holistyczne podejście, łącząc sprawy umysłu, ciała i ducha, a do tego oferując rozmaite zdroworozsądkowe i umoralniające porady. Samuel Johnson nazywał doktora Cheyne'a człowiekiem „uczonym, filozofującym i pobożnym", choćby dlatego, że opowiadał się on zawsze za umiarem. Napisał *Essay on Gout* [Esej o podagrze] (1720), a następnie *An Essay on Health and Good Life* [Esej o zdrowiu i długim życiu] (1724), który doczekał się dziewięciu wydań za życia autora i został przełożony na wiele europejskich języków.

Sam Cheyne był człowiekiem nieprawdopodobnie otyłym; pod koniec lat dwudziestych XVIII wieku ważył dwieście kilogramów. Cierpiał wskutek tego na wiele chorób i przypadłości: melancholię, dolegliwości gastryczne, mdłości, spleen, stany lękowe, ataki złości. Dostrzegał przy tym, że wszystko to konsekwencja zamożności i cywilizowanego życia. Lekarstwem było umiarkowanie w jedzeniu, wegetarianizm, ćwiczenia, wywoływanie wymiotów oraz wizyty w uzdrowisku w Bath. Najlepiej jednak sprawdzała się profilaktyka.

Zaburzenia psychiczne miały zdaniem Cheyne'a przyczyny fizjologiczne, a zwłaszcza nerwowe. Nerwy, przekaźniki uczuć i ruchu, były niczym struny instrumentu muzycznego: należało dbać o ich odpowiednie nastrojenie. Musiały wydawać właściwy dźwięk. Jeśli się rozstrajały, jeśli traciły napięcie, elastyczność lub przestawały działać prawidłowo wskutek ekscesów życia człowieka cywilizowanego, wskutek bólu, lenistwa czy ponurości, wtedy dochodziło do przewlekłych chorób – gorączki, kolek, podagry, „chaotycznych majaków mózgowych", paroksyzmów, konwulsji, majaczeń i pomieszania zmysłów. Z powodu słabych nerwów cierpiały osoby najwrażliwsze, obdarzone najbystrzejszymi umysłami, tym bardziej należało zatem zapobiegać załamaniom nerwowym i prowadzić zrównoważone życie, zawsze wybierając drogę środka.

Cheyne nie zajmował się leczeniem umysłów, bo taka specjalizacja miała powstać dopiero w następnym stuleciu, niemniej można uważać go za jednego z pierwszych neurologów, a więc przedstawicieli dyscypliny, która później to zbliżała się do psychiatrii, to się od niej oddalała. Pacjenci skądinąd udawali się zarówno do psychiatrów, jak i neurologów z podobnymi objawami, zwłaszcza kiedy nękały ich choroby „funkcjonalne" (by użyć późniejszego terminu). Rozmaite przypadłości umysłowe, od poczucia niepokoju i rozkojarzenia po napady histerii, a nawet paraliżu i apopleksji, nie miały, według Cheyne'a, podłoża psychologicznego i nie brały się z umysłu czy emocji. Przyczynę stanowiły niewłaściwie funkcjonujące nerwy i naczynia krwionośne – a zatem rzecz sprowadzała się do fizjologii. Od połowy XVIII stulecia aż po wiek XIX wielu lekarzy podjęło ten sam tok myślenia.

Doktor William Cullen (1710–1790), wybitna postać reprezentująca bastion oświecenia, jakim był Uniwersytet Edynburski, starał się pożenić fizjologię z filozofią Locke'a wyjaśniającą, w jaki sposób idee rodzą się w umyśle z połączenia reprezentacji doświadczeń. Wpływowe dzieło Cullena *First Lines of the Practice of Physik* [Pierwsze zasady praktykowania medycyny] zostało wydane w całości w latach 1778–1784; autor poświęcał szczególną uwagę nerwom jako czynnikowi rozwoju chorób. Właśnie Cullen ukuł termin „neuroza" na określenie wszelkich schorzeń motorycznych i sensorycznych, które nie wiązały się z „zaburzeniem działania poszczególnych narządów, lecz raczej układu nerwowego w ogóle". Co ważne z punktu widzenia późniejszych badań psychiatrycznych, powiązał też manię i melancholię z wahaniami przepływów nerwowych impulsów w mózgu (zwanych przez niego „podnietami"). Myślenie, pisał, wymaga uporządkowanego i dokładnego przywoływania faktów i doświadczeń. Jeśli więc „podniety" ulegają zaburzeniom, mózg rodzi fałszywe percepcje, skojarzenia i sądy[21]. Nadto Cullen podawał wyjaśnienie histerii, która wynikać miała z nadmiaru aktywności seksualnej oraz „zbierania się krwi" w kobiecych genitaliach. W 1807 roku szkocki lekarz Thomas Trotter (1760–1832) opublikował *View of the Nervous Temperament* [Pogląd w kwestii nerwowego temperamentu]. Twierdził, że „choroby nerwowe zajęły teraz miejsce gorączek i odpowiadają najpewniej za dwie trzecie schorzeń w cywilizowanych społeczeństwach"[22] – że zaś

częściej występowały w miastach, dawało to ogromną liczbę cierpiących osób.

Jak pisał Roy Porter, Cheyne i jemu podobni sprawili, że nastała epoka bardziej przychylnie traktująca szaleństwo i rozmaite dziwactwa nastroju czy zachowań[23]. Przypadki, na które powoływał się Cheyne (było ich osiemnaście plus jego własny, przedstawiony bardzo szczegółowo), dotyczyły co prawda łagodniejszych form szaleństwa, niemniej ich modna powszechność oraz fakt, że lekarz podkreślał dobrą naturę i szlachetne urodzenie pacjentów, powodowały, że nawet co bardziej skrajne przypadłości zdawały się mniej groźne. „Wapory" i różne rodzaje obłędu przychodziły i odchodziły, niczym fazy księżyca – któremu skądinąd język angielski zawdzięcza słowo *lunacy*, czyli szaleństwo.

Kiedy Mary Lamb zamordowała matkę i zraniła ojca, współczucie dla obłąkanych było silnie zakorzenione w kulturze, a na dodatek współgrało z romantyczną wrażliwością, otwartą na rozmaitego rodzaju skrajne zachowania. Miało się to jednak zmienić jeszcze za życia Mary. Postrzeganie obłędu, które uchroniło ją przed zakładem zamkniętym (czyli choćby przekonanie o okresowych napadach szaleństwa i o tym, że niekiedy jego objawy są przez dłuższy czas niedostrzegalne), uległo przekształceniu, a że w dodatku profesja lekarzy zajmujących się ludzką psychiką (zwanych teraz „alienistami") rozwinęła się, ludzie pokroju Mary zyskali status „niebezpiecznych jednostek". Mogli w każdej chwili wpaść w „morderczą manię". Niewidzialność objawów, nieprzewidywalność choroby tylko sprzyjały zagrożeniu[24].

Błędem byłoby jednak twierdzenie, że w Wielkiej Brytanii skatalogowane, skategoryzowane i odizolowane od społeczeństwa jednostki stanowiły twór państwa działającego w swoistej zmowie z sądami i rodzącą się profesją psychiatryczną (taki właśnie obraz w odniesieniu do Francji i zasadniczo do reszty Europy przedstawiał wybitny historyk i filozof Michel Foucault). Wizja ta nie do końca się sprawdza. Po pierwsze, liberalna gospodarka i leseferyzm aż do połowy stulecia pozwalały na współistnienie państwowych i prywatnych szpitali. Po drugie, co ważniejsze, przypadek Mary pokazuje, że ona, jej brat, ich sławni współcześni, literatura, krzewione sposoby życia, nowe ujęcie

dzieciństwa kładące nacisk na naturę pamięci i wyobraźni, a wreszcie akcentowanie wrażliwości i uczuć sprawiły, że priorytetem nowej, wzorowej jednostki stało się jej życie wewnętrzne. Wreszcie, z wyjątkowości uczyniono zaletę. Wskutek zbiegu wielu rozmaitych czynników zrodził się nowy typ człowieka, który od czasu do czasu wręcz pragnął być „niezwykłym przypadkiem", diagnozowanym przez lekarzy.

Wszystko to nie wydarzyło się bynajmniej w jednej chwili.

SZALEŃSTWO I ŻYCIE CODZIENNE

Mary odzyskała rozum mniej więcej sześć tygodni po fatalnym zdarzeniu. Nadal pozostawała w szpitalu w Islington, między innymi dlatego, że jej starszy brat John domagał się, by trzymać ją w odosobnieniu, poza tym Charles nie mógł zabrać jej do domu, póki żył ich zniedołężniały ojciec, który panicznie bał się córki. W kwietniu 1797 roku Charles zdołał jednak zapewnić Mary jej własną kwaterę. Tłumaczył w liście do Coleridge'a:

> Zabrałem ją z zamkniętej placówki i znalazłem dla niej pokój w Hackney. Spędzam tam niedziele, dni wolne etc. Mieszka sama. W ledwie pół roku, mimo choroby straszliwej i o skutkach fatalnych, znów zdołała wrócić do świata, nadto rokowania wskazują, że nie dotknie jej już nigdy aż tak silny obłęd. Zaprawdę, nie można rzeczy onej zaliczyć do zwykłych łask Opatrzności. [...] Pogratuluj mi tedy odzyskania mej bliskiej a nieodłącznej przyjaciółki. [7 kwietnia 1797]

Co prawda Mary pozostała „nieodłączną" towarzyszką Charlesa i nigdy już nie popełniła morderstwa w ataku obłędu, lecz w zasadzie raz do roku, a czasem częściej, cierpiała wskutek nawrotów choroby.

W kwietniu 1799 roku, po śmierci ojca, brat i siostra zamieszkali razem przy Chapel Street w Pentonville. Mary znów jednak przeszła załamanie – a może po prostu podejrzenia sąsiadów sprawiły, że jej stan się pogorszył – i musieli się przenieść do Holborn. Potem na kilka lat osiedlili się w Temple, ukochanej dzielnicy ich dzieciństwa. „Stawiam sobie za cel przeprowadzkę do miasta, tam bowiem zyskamy

więcej prywatności – pisał Charles 20 maja 1800 roku do Thomasa Manninga. – Opuścimy dom i sąsiedztwo, gdzie choroba Mary, jakże często nawracająca, uczyniła z nas ludzi naznaczonych. Nigdzie nie zaznamy wytchnienia, jeno w sercu Londynu".

Miasto tętniące życiem, anonimowe tłumy i ekscentrycy rzucający się w oczy zapewniali większą szansę na normalne życie niż prowincja i ciche wioski. Kiedy Mary miała się dobrze, pomagała Charlesowi w pisaniu. Sama też tworzyła – spod jej pióra wyszły wszystkie komedie w *Opowieściach Szekspira*. Prowadziła bratu dom, przyjmowała gości. Z tego, co nam wiadomo, ataki choroby przychodziły głównie na skutek zmęczenia, podniecenia spowodowanego nadmierną liczbą odwiedzających, wieści o zgonach albo wspomnień o matce. Ilekroć stan siostry się pogarszał, w pierwszych latach Charles za każdym razem wysyłał ją do jednego ze szpitali dla obłąkanych w Hoxton. Oboje nauczyli się rozpoznawać zwiastuny nawrotu i mogli się z góry przygotować – podobnie jak Coleridge. Mieszkając u nich na przełomie marca i kwietnia 1803 roku, pisał do żony Sary:

> Przyrzekałem sobie, że nie będę mówić o Mary Lamb – ale lepiej opiszę tę rzecz. W przedostatni czwartek spotkała u Rickmana p. Babba [albo Babbsa? – przyp. S.T.C.], starego admiratora jej matki.
>
> Następnego dnia uśmiechała się złowieszczo, w niedzielę zaś oznajmiła bratu, że ma się źle i wielce cierpi. We wtorek rano pochwyciła mnie w gwałtownym poruszeniu i poczęła mówić bez ładu i składu coś o George'u Dyerze [przyjacielu Lambów]. Powiedziałem Charlesowi, że nie ma chwili do stracenia, i czym prędzej odwiozłem ją dyliżansem do Hackney do prywatnego szpitala dla obłąkanych w Hogsden. Była całkiem spokojna, rzekła, że to najsłuszniejsza decyzja, lecz płakała gorzko. Charlesowi pęka serce. [4 kwietnia 1803].

Wedle tych słów Mary zdawała sobie sprawę, że musi znaleźć się w odosobnieniu, póki nie ustąpi „gwałtowne poruszenie", które często powodowało u niej słowotok i niepohamowaną gonitwę myśli. Przyjaciele wspominali smutny widok brata i siostry idących ramię w ramię do szpitala, trzymających kaftan bezpieczeństwa. Po ich twarzach spływały łzy.

Lambowie bardzo cierpieli z powodu „załamań nerwowych" Mary, niezwykle trudnych do przezwyciężenia. „Zmagam się z fatalnym nastrojem, robię, co mogę, lecz niełatwo osiągnąć poprawę", pisała Mary do Dorothy Wordsworth 9 lipca 1803 roku. Charles także często wpadał w melancholię, przy czym niekiedy zbiegało się to z atakami jego siostry. Można spekulować, że istniał tu pewien związek, choć nie ustalimy raczej, czyj nawrót przychodził w danym przypadku pierwszy, a czyj drugi.

Melancholia była dość „modną" przypadłością wrażliwców epoki georgiańskiej: ludzie powszechnie znali objawy melancholii i w pewnym sensie aspirowali do tego, by je mieć. Choroby codziennego życia, rozmaite nieszczęścia i cierpienia da się uczynić „modnymi". Aby tak się stało, otoczenie, w tym lekarze, muszą je uznać za realny problem, wówczas bowiem nieświadomie pomagają dopasować objawy do określonego wzorca. Mamy tu pewną analogię z zakładem Pascala, który zalecał przyjęcie założenia, że Bóg istnieje, i przestrzeganie związanych z tym rytuałów. Podobnie osoby mające symptomy danej choroby mogły tak świetnie się do nich przystosować, że nie potrafiły już żyć bez nich. Na melancholię cierpiał – i to z rozmachem – choćby James Boswell (1740–1795), biograf Samuela Johnsona. Rubrykę, którą prowadził w piśmie „The London Magazine" (Lamb też później do niego pisywał), podpisywał „Hypochondriack" (w tamtym okresie mówiono tak o stanie apatii pomieszanej z przygnębieniem, skokami nastroju oraz dziwnych lęków). Johnson ostrzegał Boswella, że za bardzo daje się ponieść wyobraźni i temperamentowi, przez co grozi mu popadnięcie w niekontrolowane szaleństwo. Istnieją pewne przesłanki, by sądzić, że dla Boswella melancholia była w istocie grą, że ją udawał – aż wreszcie stracił kontrolę, co przyspieszyło jego upadek w ostatnich latach życia[25]. Trzeba ponadto podkreślić, że naśladownictwo, choć obserwowalne, rzadko kiedy jest rzeczą świadomą i zamierzoną.

Około 1800 roku Coleridge zwrócił się do Charlesa Lamba, by ten napisał pastisz *Anatomii melancholii* Burtona. W tym samym czasie Charles spłodził także wiersz *Hypochondriacus*. W tej wartkiej rymowance odgrywał i wyśmiewał modne, „godne tolerowania" symptomy melancholii. Zarazem przywoływał zagrożenia, jakie melancholia niekiedy stwarza:

Czarne myśli nieustannie
Naruszają mą samotność.
Wciąż przychodzą nieproszone
Jak wrogowie na wesele
I zajmują w bezczelności
Miejsca milszych znacznie gości.
[...]
W uszach moich szept wciąż słyszę:
„Przyjaciołom swym nie ufaj".
„Każdy wróg twój niebezpieczny".
„Każdy twój zły sen proroctwem".

Trudno oprzeć się pokusie, by nie uważać Charlesa i Mary Lambów za reprezentantów dwóch modeli szaleństwa dopuszczalnych w georgiańskiej Anglii. Charles stałby się wówczas melancholikiem, a Mary rewolucjonistką pełną pasji, która wybucha gniewem, zabija starą matkę tyrankę, lecz skazana jest na życie w strachu, że znów dopuści się przemocy. Późniejsze eseje Charlesa, pisane pod pseudonimem „Elia", zawierają wiele dygresji i swobodnych skojarzeń. Przypomina to wyznania, które co chwila wymykają się spod kontroli, lecz zaraz są z dowcipem poskramiane. To wręcz doskonały przykład wczesnoromantycznej wrażliwości. Mary tymczasem funkcjonuje po ciemnej stronie. Niekiedy traci trzeźwy osąd i kontrolę. „Pomieszanie słów", zwiastujące atak manii, powraca niemal co roku „w najokrutniej przygnębiający sposób".

Wytrwała i staranna opieka Charlesa niosła ze sobą nie lada koszty. Poeta nie związał się z żadną kobietą. Z czasem coraz częściej szukał ucieczki w pijaństwie*. Mary była mu wdzięczna, lecz także uciekała, oddalała się od brata, wykorzystując jedyny sposób, który znała – i to

* Jest rzeczą znamienną, że Charles napisał esej zatytułowany *The Sanity of True Genius* [Trzeźwy umysł prawdziwego geniusza], w którym dobitnie pisze, że prawdziwy geniusz i bystry dowcip najwyższej próby był cechą wyłącznie „pisarzy o najtrzeźwiejszych umysłach". „Niepodobna wyobrazić sobie szalonego Szekspira". Poetycki talent wymaga „godnej równowagi władz umysłowych". Dlatego właśnie Charles zawsze obawiał się, że jemu samemu talentu brakuje, i martwił się wyskokami Coleridge'a.

coraz lepiej – a mianowicie szaleństwo. Wprawdzie pobyty w zakładach dla obłąkanych nazywała „banicją", lecz zawsze miała pod ręką kaftan bezpieczeństwa, ilekroć zaś przeczuwała nadchodzący atak choroby, dobrowolnie udawała się do najbliższego szpitala.

Rzadko zdarzało się, by wspominała w listach o swej przypadłości, lecz pewnego razu napisała do przyjaciółki Sary Stoddart, której matka „postradała rozum":

> Zaklinam, nie pozwól, by jej nieszczęśliwa choroba stała się dla Ciebie zbyt wielką dokuczliwością. Mam tu doświadczenie i wielokrotnie mogłam obserwować, że obłąkany, wbiwszy sobie rzecz jakowąś do głowy, inaczej czuje się niźli człek w pełni trzeźwy na umyśle a cierpiący na skutek realnej nędzy czy przekonania, że uczynił co złego.
>
> Nie roztrząsaj przeto tych spraw w myślach i zadbaj przede wszystkim, aby miała troskliwą opiekę. Podkreślam to z całą mocą, albowiem ludzie w jej stanie właśnie na ową opiekę są szczególnie wrażliwi, przy czym mało kto zdaje sobie z tego sprawę, a już zwłaszcza nie pielęgniarki wynajmowane za pieniądze, choć pod innymi względami to dobre osoby. [Listopad 1805]

Szaleniec nie jest odpowiedzialny za rzeczy, które pojawiają się w jego głowie. Osoby mu bliskie nie powinny brać ich do serca. Liczy się natomiast troska. Ba, troskliwa opieka ma pierwszorzędne znaczenie.

Nie mamy pewności, czy Charles, choć przez całe życie wiernie trwał przy Mary, zawsze odnosił się do niej troskliwie (trudno byłoby go zresztą winić za uchybienia). Wiemy, że zdarzało mu się kpić z siostry. Wiele osób, w tym sama Mary, odbierało czasem tego rodzaju zachowania jako obraźliwe; bez wątpienia budziły one konsternację. Dodatkowym czynnikiem był jego alkoholizm, który zmartwiona Mary próbowała bez powodzenia powściągnąć, oraz nieustanne kłopoty z tym, by zabrać się do pisania i dokończyć rozpoczęte wcześniej prace.

Z drugiej strony naprawdę dbał o siostrę, a jej choroba odebrała mu szansę na szczęście. Musiał porzucić myśl o małżeństwie. W liście do Dorothy Wordsworth napisanym krótko po tym, jak Mary trafiła do zakładu zamkniętego, żalił się: „Kiedy dostrzega ona pierwsze ob-

jawy zbliżającej się choroby, nie wiem, co począć. Źle, kiedy jesteśmy sami, źle, kiedy wychodzę. Robię się poirytowany i nęka mnie strach, toteż pogarszam jej stan. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak mnie to unieszczęśliwia" [16 czerwca 1805].

Charles wielokrotnie pisał w listach do przyjaciół o swym poczuciu winy. Stanowiło ono nieodłączny element choroby i opieki. Jego depresje lub złe nastroje mogły sprowokować napad choroby Mary – a napady Mary wpędzały go w jeszcze gorszy nastrój i ostatecznie widmo szaleństwa ogarniało ich oboje. Ataki obłędu Mary trwały coraz dłużej. Najpierw przychodził okres pobudzenia trwający trzy miesiące, potem zaś dwa miesiące głębokiej depresji. Wobec tego jej potrzeby stawały się większe, aż Charles przeprowadził się z nią do prywatnego „szpitala dla obłąkanych". Takie rozwiązanie wydawało się najprostsze. Bez siostry wszak nie potrafił żyć ani być szczęśliwy. Krótko przed Bożym Narodzeniem w 1834 roku spacerował po Edmonton, opodal zakładu, w którym mieszkali. Najprawdopodobniej był pijany; w pewnej chwili przewrócił się i zranił. Wdało się zakażenie krwi. Tydzień później Charles umarł na różę. Coleridge odszedł w lipcu. Mary żyła jeszcze trzynaście lat. Co zaskakujące, przez pierwsze trzy lata po śmierci Charlesa miała się całkiem dobrze, jak gdyby w pełni wróciła do zdrowia, potem jednak znowu przyszły ataki szaleństwa, trwające coraz dłużej i dłużej. Zmarła w maju 1847 roku w wieku osiemdziesięciu dwóch lat.

ZBRODNIE I LEKARZE

Mary Lamb podkreślała, że szaleńcy potrzebują czułej troski, bo sama zapewne zaznała brutalnego traktowania w domu dla obłąkanych lub przynajmniej mogła je oglądać na własne oczy. Sarah Burton, autorka najnowszej biografii Charlesa i Mary, pisze, że kobieta spędziła nieco czasu w Whitmore. W 1825 roku instytucji tej poświęcono anonimowy raport (później okazało się, że napisał go John Mitford, dziennikarz i były pacjent), wyliczający rozmaite straszliwe okrucieństwa wyrządzane przez personel chorym, również tym lepszej kategorii[26]. Pewną młodą niewiastę „karmiono przymusowo i z siłą tak wielką, że zęby jej powypadały, a dziąsła zgniły". Umarła w męczarniach. Córkę

głównego asystenta sekretarza stanu bito miotłą w tors, nadto zaś „kilku opiekunów stręczyło ją na schodach prowadzących do kwater". Kiedy złożono skargę, dyrektor zakładu, Warburton, oznajmił: „I cóż z tego, ona wszak nie ma świadomości, co się z nią dzieje". Szaleńców chłostano, podkradano im ubrania, a następnie wmawiano rodzinie, że się podarły, bo wszak obłąkani to „najwięksi niszczyciele odzieży". Nie pozwalano bliskim na odwiedziny, by pacjenci nie mogli opowiedzieć o zaznawanych krzywdach. Wszystko to, według Mitforda, było na porządku dziennym.

Dziesięć lat wcześniej doktor John Wilson Rogers wizytował przytułek dla ubogich szaleńców prowadzony przez Warburtona w Bethnal Green i także nie szczędził słów krytyki. Wśród zaobserwowanych okrucieństw wymieniał przykuwanie chorych godzinami do łóżka i bicie, brudne, zakażone rany powstające na skutek kajdan i niemożności zrobienia ruchu, ogólny brak higieny, kneblowanie pacjentów lub obwiązywanie im głów bandażami, by nie mogli mówić, przymusowe karmienie tak gwałtowne, że zdarzało się, iż łyżka raniła chorych w usta, a wreszcie przyduszanie i oślepianie.

Andrew Roberts, prowadzący stronę internetową na Middlesex University, zawierającą niezwykłe i wyjątkowo szczegółowe dane na temat historii szaleństwa i angielskich szpitali dla obłąkanych, twierdzi, że Mary Lamb na pewno nigdy nie była ubogą pacjentką w Bethnal Green[27]. Z drugiej strony sytuacja finansowa nie pozwalałaby pokryć kosztów jej pobytu w Whitmore. Zapewne regularnie trafiała więc do Hoxton. Jeśli tak, zapewnienia Charlesa Lamba, że siostra jest ogólnie dobrze traktowana przez opiekunów, nie wynikały ani z niewiedzy, ani z poczucia winy. Mary zaś nie donosiła o żadnych zaznanych okrucieństwach, ale nie ze strachu czy z nieświadomości. Po prostu stosunkowo dobrze się nią opiekowano.

Troska nie gwarantowała uzdrowienia. W instytucjach, w których przebywała Mary, nie prowadzono terapii. Były to miejsca odosobnienia. Trafiała tam, by nie stwarzać zagrożenia dla siebie ani dla innych ludzi, a także, by nieco się „uspokoić". W jej życiu pojawia się jednak dwóch lekarzy, przy czym jeden najwyraźniej trochę jej pomógł. Mowa o doktorze George'u Lemanie Tuthillu (1772–1835). Mniej więcej wtedy, kiedy zajmował się Mary, aplikował on o posadę w St. Luke's,

dużym prywatnym szpitalu założonym przez Battiego, orędownika zmian w traktowaniu szaleńców. Tuthill nie dostał tej posady, natomiast w 1816 roku zatrudniono go jako lekarza w Bethlem i Bridewell. Jak zatem widać, kwestia obłąkanych bardzo go zajmowała.

> Byłam wówczas tak chora, że [Charles] wielce się zaniepokoił – pisała Mary do Dorothy Wordsworth 13 listopada 1810 roku. – Uznał, żem niezdolna cokolwiek przedsięwziąć. [...] Teraz zajmuje się mną doktor Tuthill. Jego terapia przyniosła znakomite skutki. Nawrócił mnie też na picie wody, co wbrew mym oczekiwaniom bardzo dobrze na mnie działa.

Tuthill (który skądinąd miał w swej biografii ciekawy epizod, został bowiem uwięziony przez Napoleona i wypuszczono go tylko dzięki staraniom jego atrakcyjnej żony) w 1810 roku dopiero zaczynał swą wspaniałą karierę. Zajmował się chemią i farmacją, organizował popularne wykłady na temat fizyki, w 1820 roku otrzymał tytuł szlachecki. Należał do grona znajomych Lambów (Charles wspomina o jego uwięzieniu we Francji w liście z 1806 roku). Właśnie on pomógł w 1825 roku załatwić Charlesowi z dawna wyczekiwane przejście na emeryturę z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Przyczynił się do nowego wydania dzieła *Pharmacopoeia Londiniensis* w 1824 roku, najważniejszego podręcznika dla aptekarzy, którego oryginał ukazał się w roku 1618. Podręcznik zawierał listę lekarstw podzielonych na różne kategorie (np. wody, maści, pastylki). Niektóre pochodziły jeszcze z czasów Galena i Awicenny. Tuthill wraz z innymi członkami specjalnej komisji uaktualnił dzieło i przyczynił się do jego wydania po angielsku. Wspominano go jako człowieka mówiącego „szybko i lakonicznie. Rzadko użyje zbędnego słowa, rzadko też pominie słowo ważne”[28].

Nie wiadomo, co dokładnie przepisywał Mary z wyjątkiem wody. W tamtym okresie do uśmierzania ataków drgawek używano opium i laudanum, nie ma jednak żadnych dowodów, że Mary Lamb zażywała jedno lub drugie. Najwyraźniej jednak uspokoiła się nieco dzięki zaleconemu przez Tuthilla wypoczynkowi, aczkolwiek określała to mianem „próżnowania”. Lekarz zabronił jej pracować, radził, by unikała spotkań z przyjaciółmi i kładła się wcześnie spać. Tych samych

porad miały się trzymać histeryczki i neurasteniczki w późniejszych dekadach XIX wieku i w XX stuleciu. Pod opieką Tuthilla ataki manii nękające Mary ustępowały znacznie szybciej niż w Hoxton. Być może pomagał fakt, że lekarz poświęcał jej tak wiele uwagi. Nie zachowały się informacje na temat zaleceń Tuthilla dla Charlesa, który często cierpiał z powodu depresji, woda mogła jednak nieco mu pomóc, jeżeli zastępowała alkohol. Takie reguły diety wywodziły się bezpośrednio od Cheyne'a. Picie rozmaitych wód stanowiło jedną z form leczenia smutku i szaleństwa w całej dziewiętnastowiecznej Europie. Z perspektywy chemicznego XXI wieku budzi to sceptycyzm, lecz trzeba pamiętać, że wody mineralne często zawierały pierwiastek stanowiący podstawę dzisiejszych lekarstw psychotropowych, a mianowicie lit.

Mimo że Tuthill opiekował się Mary oraz pacjentami w Bridewell i Bethlem, nigdy nie nazywano go specjalistą od obłąkanych. Taka dyscyplina jeszcze wówczas nie istniała. Za specjalistów uchodziły wówczas przede wszystkim osoby, które umiały „obchodzić się" z szaleńcami. Doktor Francis Willis, człek o tak wielkim autorytecie, że nawet Jerzy III bał się go i stawał się bardziej „uległy" w swoim szaleństwie, zaczynał jako duchowny. Sławę zapewniła mu właśnie opieka nad królem oraz otwarty w 1776 roku wzorcowy szpital dla obłąkanych Greatford Hall w Lincolnshire. Skądinąd z królową Portugalii Marią I nie poszło mu tak łatwo. U Marii, pochodzącej z rodu, który wydał niemało szaleńców, zdiagnozowano melancholię i manię religijną. Jej stan pogorszył się na skutek rozmaitych doznanych nieszczęść i tragedii, a także lęków wywołanych przez rewolucje w sąsiednich krajach. Willis zaopiekował się nią w 1792 roku. Wierzyła wówczas, że została skazana na wieczne potępienie. Miała okropne koszmary senne, niekiedy zaś długo w ogóle nie mogła zmrużyć oka. Dochodziły do tego również problemy żołądkowe, melancholia i majaczenia, podczas których królowa wypowiadała najrozmaitsze sprośności. Terapia moralna Willisa z początku przyniosła jej nieco spokoju, lecz wkrótce stan Marii znów się pogorszył.

Ostatecznie nowy sposób obchodzenia się z szaleńcami zaczął się upowszechniać. Terapia Willisa – o ile w ogóle można mówić o terapii – zakładała całkowite odrzucenie brutalnych metod. Zamiast tego należało ustanowić autorytet moralny. Willis przeszywał chorych

surowym spojrzeniem, niczym współcześni mu mesmeryści, i dzięki temu zapewniał sobie posłuch. Michel Foucault pisał, że odkąd pojawiła się terapia moralna, kajdany, łańcuchy i uzda sekutnicy stopniowo zaczęły być wypierane przez inne środki, a mianowicie rozmowę, obserwację i ocenę. Szaleńców próbowano kontrolować „od wewnątrz" przez narzucanie im porządku i dyscypliny.

Szpital doktora Willisa i słynna placówka Williama Tuke'a w Yorku stały się modelami nowych instytucji dla obłąkanych w pierwszej połowie XIX wieku, a więc w okresie większego optymizmu. Willis zyskał sławę w pewnej mierze dlatego, że jego raporty na temat stanu zdrowia króla, przekazywane parlamentowi, przedrukowywano w dużych nakładach. Nie był bynajmniej rewolucjonistą, lecz wywarł ogromny wpływ na ojców francuskiej psychiatrii. Świadczy o tym choćby poniższa relacja na temat York Retreat, przetłumaczona z francuskiego:

> Kiedy nieprzygotowany podróżnik zbliżał się do celu, zaskoczyło go, że niemal wszyscy okoliczni oracze, ogrodnicy, młocarze i rzemieślnicy kryjący dachy strzechą odziani byli w czarne fartuchy, białe kamizelki, czarne jedwabne pumpy i pończochy, włosy zaś mieli „bien poudré, frisé, et arrangé". Byli to pacjenci pana doktora. Że dobry ubiór, higiena osobista i ćwiczenia fizyczne są głównymi elementami jego systemu, jakże godnego podziwu, panowały tu zdrowie i wesołość, wspaniale przyczyniające się do wyleczenia wszystkich osób w tym znakomitym szpitalu.[29]

York Retreat prowadzono wedle kwakierskich zasad. Najlepiej wyłożył je w 1813 roku Samuel Tuke, wnuk założyciela. Zrezygnowano ze wszystkich form krępowania ruchów, a w zamian za to ustanowiono system nagród i kar, zachęcający mieszkańców do wstrzemięźliwości i samokontroli. Opiekunowie zaczęli odgrywać rolę surowych, lecz dobrych rodziców, starających się zająć czas niesfornym dzieciom, skłonić je, by odpowiednio się zachowywały, a także wpoić im porządek. Praca wykonywana w regularnych godzinach, obowiązki i konieczność skupiania uwagi, a do tego jeszcze rozmowy uchodziły za wzoro-

we zabiegi terapeutyczne, dzięki którym nawet furiaci się uspokajali, a z szaleńców udawało się zrobić „coś w rodzaju" dobrych obywateli[30].

Willisowie, kwakrzy Tuke'owie i w ogóle wszyscy angielscy praktycy terapii moralnej położyli podwaliny pod nową specjalizację, znaną najpierw jako alienizm, a potem jako psychiatria. Koncepcja terapii moralnej przekroczyła kanał La Manche i trafiła do kraju ogarniętego rewolucją. Straciła wówczas religijny wymiar. Pierwsi francuscy lekarze opiekujący się szaleńcami wedle nowych zasad kładli raczej nacisk na świeckość. Kiedy zaś doszły do tego odrobina teorii i ściślejszy nadzór państwowy, „angielska choroba" przeistoczyła się we francuską naukę.

BYĆ KOBIETĄ

W 1801 roku przyjaciel Lambów George Dyer stworzył popularny wiersz, w którym odmalował cierpienia młodej, niewinnej dziewczyny, hamletowskiej Ofelii zamkniętej w Bethlem:

> Jeśli nocne trwogi nękają twój umysł,
> Tutaj stanie przy tobie Współczucie oddane.

Portal nad wejściem do szpitala Bethlem zdobiła płaskorzeźba przedstawiająca dwóch mężczyzn o krzepkich ciałach, które wiły się w dzikich konwulsjach. Uosabiali oni Melancholię i Manię (przy czym ten drugi był zakuty w kajdany). W 1815 roku zastąpiły ich dwie postacie żeńskie, reprezentujące „młodzieńcze, piękne, kobiece szaleństwo"[31]. Zaczęła się feminizacja obłędu, połączona z jego oswajaniem. Pomieszanie zmysłów nie było już dzikie, furiackie, niebezpieczne, lecz raczej smutne i godne współczucia.

Elaine Showalter w książce *The Female Malady* [Kobieca choroba] przekonująco argumentowała, że dziewiętnastowieczne postrzeganie obłąkanych kobiet oraz poglądy na temat terapii ukształtowały się pod wpływem ówczesnych ideałów kulturowych i opinii na temat „stosownych" kobiecych zachowań. Kobiety uchodziły za istoty irracjonalne – Rozum stanowił wszak domenę mężczyzn. Były też słabe i rządziła nimi biologia: najpierw zaczynały miesiączkować, potem zachodzi-

ły w ciążę i wydzielały mleko z piersi, aż wreszcie wkraczały w okres menopauzy. Śliczna, pomiatana Ofelia, Łucja z Lammermooru, która w noc poślubną zamordowała męża wybranego dla niej przez rodziców, służąca Szalona Jane z popularnej ballady, porzucona przez kochanka – oto trzy symboliczne postacie wybrane przez Showalter do opisania kształtujących się poglądów dotyczących kobiecego szaleństwa. We wszystkich tych przypadkach pewną rolę odgrywa czynnik w postaci relacji seksualnych z mężczyznami.

Czy pomaga nam to jakkolwiek zrozumieć historię Mary Lamb?

Można spekulować, że kiedy jej brat zakochał się w innej kobiecie, poczuła, że oto jej samej grozi zamknięcie w ciasnym gronie rodziny. Podobnie jak Łucja, musiała się uwolnić. Spojrzenie przez okulary Freuda prowadzi wręcz do wniosku, że szycie, które sama Mary utożsamiała z uciskiem, symbolizuje nie tylko niewolę i żmudną pracę, prowadzące do szaleństwa, ale też (masturbacyjne) tłumienie popędów seksualnych, zakończone ostatecznie fatalnym edypalnym matkobójstwem. Możemy też naciągać dalej tę opowieść o Ofelii-ofierze, by dopasować ją do jednej z najpowszechniejszych obecnie psychologicznych narracji. Musielibyśmy wówczas starannie zbadać dzieciństwo Mary w poszukiwaniu wszystkiego, co świadczy o braku matczynej czułości oraz o zaburzeniach myśli, ale także przypadków molestowania seksualnego powodującego lęki i dysocjację. Czyniłoby to Charlesa jedynym „bezpiecznym" mężczyzną w jej życiu.

Takie historie i relacje rzucają pewne światło na przypadek Mary Lamb, lecz zapewne ona sama podałaby inne wyjaśnienia. W swych tekstach rzadko kiedy poruszała temat kondycji kobiecej. Oprócz narzekania na robótki ręczne uniemożliwiające kobietom „próżnowanie" i zdobywanie wykształcenia, pisała tylko o tym, że pragnęłaby pozbawić przyjaciółki romantycznych złudzeń i uświadomić im trudności związane z życiem małżeńskim oraz niebezpieczeństwa porodu. Niektórzy od razu dostrzegliby w tym wyraz nieuświadomionych lęków seksualnych. Z drugiej strony wypowiedzi te warto również potraktować dosłownie.

Na podstawie listów Mary i Charlesa można nabrać przekonania, że jej kobieca tożsamość ściśle wiązała się z byciem „użyteczną", zawsze zajętą jakimiś obowiązkami domowymi (w tym również szyciem) albo

usługiwaniem przyjaciołom przybywającym w gościnę. W XIX wieku błyskotliwe kobiety z klasy średniej miały pierwszy raz skruszyć kajdany społecznie narzuconej „przydatności", podświadomie wybierając „inwalidztwo" jako lepszy model życia. Poetka i radykałka Elizabeth Barrett Browning, najstarsza z dwanaściorga rodzeństwa, zachorowała w wieku czternastu lat, dzięki czemu uniknęła żmudnego obowiązku zajmowania się braćmi, siostrami i ojcem tyranem. Zamiast tego mogła poświęcić się literaturze i rozmyślaniom. Kiedy uwiódł ją poeta Robert Browning, którego kochała „śmiało, jak męże walczą, by praw strzec"*, jej życie zupełnie się zmieniło. W wieku czterdziestu lat Elizabeth Barrett, wcześniej niepełnosprawna, urodziła mu dziecko.

Mary Lamb czerpała dumę ze swej kobiecej przydatności. Zarazem owa przydatność męczyła ją i wyczerpywała, co prowadziło do ataków manii, a wówczas rozmowy, którymi miała zabawiać gości, stawały się przesadnie ożywione i pełne szczegółów, „niczym kwieciste monologi z Congreve'a, zupełnie wyrwane z kontekstu. [...] Zdawało się, że najprzedniejsze elementy umysłu rozsypywały się w różne fantastyczne kombinacje, jak w kalejdoskopie"[32].

Kultura, w której żyła Mary, możliwości, nawyki i ograniczenia wyznaczane kobietom, miały wpływ na jej manię. Czy jednak fakt, że Mary była kobietą, rzutował na to, w jaki sposób ludzie z jej otoczenia postrzegali jej szaleństwo i terapię? Bardzo trudno tu o jednoznaczną odpowiedź. Dzisiejsi historycy i historyczki przyjmowaliby zupełnie różne punkty widzenia. Feministyczna krytyka tradycyjnej historiografii, przeprowadzona w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, podkreślała, że kobiety znacznie częściej niż mężczyźni trafiały do zamkniętych szpitali dla obłąkanych, a ponadto ich skargi i narzekania częściej klasyfikowano jako objawy szaleństwa. Historycy wykazali z kolei, że owe tezy nie do końca znajdują potwierdzenie w danych rejestrowych ze szpitali[33].

* Cytat z *Sonetu 43* [*Jak ciebie kocham? Pozwól, niech wyliczę*] Elizabeth Barret Browning za przekładem Ludmiły Marjańskiej, ale lekko zmodyfikowanym. U Marjańskiej brzmi on: „śmiało, jak ludzie walczą, by praw strzec" (w oryginale: „Freely as men strive for right"). Zamiana „ludzie" na „męże" wydała się niezbędna, by podkreślić element genderowy, jakże istotny w tym kontekście (przyp. tłum.).

W późniejszych dekadach XIX stulecia uczyniono z kobiet płeć o słabej konstytucji, a przez to podatniejszą na obłęd. Jednak brat i przyjaciele Mary Lamb (w tym najwybitniejsi przedstawiciele romantyzmu) w obfitej korespondencji rzadko kiedy przedstawiają ją jako słabą, nadwrażliwą Ofelię. Przeważnie wyrażają zaskoczenie, że szaleństwo dotknęło osobę tak rezolutną i trzeźwo myślącą. „To ostatnia kobieta, którą podejrzewałbyś w jakichkolwiek okolicznościach o obłęd, tak bardzo bowiem jest rozważna, opanowana i racjonalna", pisano. William Hazlitt mawiał: „Nie spotkałem żadnej naprawdę rozsądnej kobiety prócz Mary Lamb"[34].

Również Cheyne, sporządzając studia przypadków młodych kobiet, rzadko kiedy wiązał chorobę z płcią lub słabością umysłu czy woli, nawet kiedy opisywał skrajne objawy psychosomatyczne, „histeryczne drgawki i kolki" odbierające władzę w rękach i nogach. Z drugiej strony miał więcej pacjentów płci męskiej niż kobiet, co było typowe dla epoki georgiańskiej[35].

Dane na temat York Retreat z 1845 roku wskazują, że było tam o 30 procent więcej mężczyzn[36]. Proporcja odwróciła się dopiero w drugiej połowie stulecia, wraz z powstaniem wielkich publicznych szpitali dla obłąkanych. *Ustawa o szaleńcach i szpitalach prowadzonych przez hrabstwa* z 1845 roku ustanowiła ściślejszy nadzór lekarski nad placówkami, a ponadto zobowiązała lokalne władze, by zapewniły ubogim chorym miejsca w zakładach. Szaleńcy oraz ci, których krewni uważali za obłąkanych, ludzie niesamodzielni, sprawiający kłopoty, starzy i zdemenciali, nie musieli już tkwić w domach albo płacić za prywatną opiekę. Państwo wzięło na siebie ich utrzymanie. Wskutek tego zwiększyła się liczba osób przebywających w zamkniętych zakładach, a wraz z nią również odsetek kobiet. Według danych ze spisu powszechnego z 1871 roku na 1000 ubogich pacjentów płci męskiej przypadały 1242 pacjentki, co oznacza nadreprezentację, gdyż w ogólnej populacji kraju na 1000 mężczyzn przypadało zaledwie 1056 kobiet[37]. Historycy postawili jednak niedawno tezę, że choć płeć odgrywała ogromną rolę w teoriach psychiatrycznych i psychologicznych na przełomie XIX i XX wieku, nie przekładało się to w prosty sposób na liczby osób objętych opieką ani na praktykę. Dane dotyczące osób przyjętych i zwolnionych z zakładów w Wielkiej Brytanii świadczą, że nie zachodziły większe

różnice ze względu na płeć – jeśli już, grupą nadreprezentowaną byli w XIX wieku nieżonaci mężczyźni[38].

W szpitalach dla obłąkanych na początku XVIII wieku kobiety traktowano zazwyczaj nie gorzej niż mężczyzn, aczkolwiek istniały pewne formy przemocy, na które narażone były głównie pacjentki, wielokrotnie wspominane w różnych raportach. Dysponujemy świadectwami na temat gwałtów i aktów przemocy seksualnej oraz stręczycielstwa, przy czym tego ostatniego dopuszczały się także opiekunki pragnące zarobić nieco pieniędzy. Jeszcze częściej zdarzało się przymusowe karmienie. John Haslam, aptekarz z Bethlem, pisał w swych *Observations of Madness and Melancholy* [Obserwacjach o szaleństwie i melancholii] z 1809 roku: „Bolesnym jest mi wspomnienie napotkanych przeze mnie wielu jakże interesujących niewiast, które, gdy cierpiały na skutek przelotnych zaburzeń umysłowych, poddawano brutalnej operacji karmienia na siłę w prywatnych zakładach dla obłąkanych. Powracały później na łono przyjaciół pozbawione przednich zębów w obu szczękach"[39]. Nigdy się nie dowiemy, czy okrutna niecierpliwość związana z tą konkretną formą przemocy świadczy, że kobiety „głodziły się" częściej niż mężczyźni i czy był to objaw szczególnie typowej dla kobiet choroby, później nazwanej przez specjalistów anoreksją.

SYMPTOMY EPOKI

W 1810 roku londyński lekarz William Black sporządził tabelę prezentującą przyczyny obłędu pacjentów przyjmowanych do Bethlem. Posłużył się kategoriami z życia codziennego, bo wszak odrębna, specjalistyczna terminologia psychiatryczna jeszcze nie istniała. Pierwszą kategorię, bardzo pojemną, można podsumować krótkim i prostym stwierdzeniem: „ludzie czasem wariują i tyle". Wystarczy dla porównania sięgnąć po *Kryteria diagnostyczne zaburzeń psychicznych* DSM, najpowszechniej obecnie używany zestaw standardów, by przekonać się, jak daleko lekarze zajmujący się umysłem zaszli w procesie tworzenia „dyscypliny naukowej". Zamiast dziesiątków starannie rozróżnionych psychoz, zaburzeń kognitywnych, adaptacyjnych, eksplozywnych przerywanych, nastroju, łaknienia i odżywiania, osobowości, snu albo związanych ze stosowaniem substancji

psychoaktywnych, w Bethlem rejestrowano następujące kategorie i przyczyny:

Nieszczęścia, kłopoty, rozczarowania
żałoba – 206 osób
religia i metodyzm – 90 osób
miłość – 74 osoby
zazdrość – 9 osób
duma – 8 osób
pobieranie nauk – 15 osób
lęk – 31 osób
pijaństwo i odurzenie alkoholowe – 58 osób
gorączki – 110 osób
poród – 79 osób
zaparcia – 10 osób
rodzina i rzeczy dziedziczne – 115 osób
urazy i pęknięcia czaszki – 12 osób
choroby weneryczne – 14 osób
ospa – 7 osób
wrzody i strupy zaschnięte – 5 osób[40]

Warto zauważyć, że w Bethlem najwyraźniej interesowano się przyczynami szaleństwa, podczas gdy *DSM* skupia się wyłącznie na starannym kategoryzowaniu diagnoz na podstawie obserwowalnych zachowań i stanów, czyli objawów. Niektóre z owych przyczyn miały charakter fizjologiczny lub dziedziczny, inne zaś środowiskowy, wynikający z okoliczności życiowych, z emocji, życiowych trudów albo wad charakteru. Ciekawe, że na liście znalazły się też religia i metodyzm. Świadczy to, że świecki dyskurs medyczny zaczynał już wypierać dyskurs wiary, choć przecież mówimy o okresie szczególnego nasilenia się żarliwości religijnej. „Boże szaleństwo" zaliczono do nieakceptowalnych skrajności wymagających odosobnienia jednostki od reszty społeczeństwa.

Z zestawienia wynika, że sporo pacjentek trafiało do Bethlem po urodzeniu dziecka lub w okresie opieki nad niemowlęciem: było ich więcej niż osób nadużywających alkoholu, które przyczyniły się do

zapełnienia szpitali w drugiej połowie XIX wieku, kiedy alkoholizm zaczęto postrzegać jako jednostkę chorobową. Mary Lamb zabiła swoją matkę – tymczasem na drugim biegunie znajdowały się dzieciobójczynie oraz kobiety, które postradały rozum po porodzie. Ten rodzaj szaleństwa dotykający kobiet z czasem zyskał na znaczeniu. Francuscy lekarze od czasu rewolucji przywiązywali wagę do demografii i polityki populacyjnej, a więc również dobrostanu matek, przez co nawet bardziej od swych brytyjskich kolegów interesowali się skutkami tego konkretnego aspektu kobiecego doświadczenia.

Mimo przyjęcia w Wielkiej Brytanii „Ustawy o szaleńcach", mimo przyrostu liczby pacjentów i ośrodków dla obłąkanych oraz rozwoju alienizmu aż do pierwszej wojny światowej nie zaszły żadne daleko idące zmiany w sposobie kategoryzowania przyczyn chorób psychicznych. Powszechnie szanowany prywatny szpital St. Andrew's w Northampton jeszcze w 1907 roku dzielił choroby psychiczne na „moralne" (czyli mające podłoże psychologiczne) i „cielesne". Do pierwszych zaliczały się stany lękowe, miłosne rozczarowania, bojaźnie, zazdrość, kłopoty w gospodarowaniu pieniędzmi, manie religijne, czytanie powieści i spirytyzm. Najwyraźniej życie powodowało szaleństwo. Oddawanie się lekturom było jeszcze gorsze – zresztą w miarę upływu czasu epoka wiktoriańska uznawała coraz to kolejne aktywności za niebezpieczne dla kobiet. Cielesne przyczyny chorób psychicznych też nie wydają się szczególnie zmedykalizowane. Owszem, wymieniono wśród nich apopleksję, choroby mózgu, przypadłości dziedziczne, syfilis i, co dotyczy akurat kobiet, menopauzę. Oprócz tego na liście znalazły się jednak także przeciążenie nauką, przepracowanie, folgowanie sobie i – jak na czasy wiktoriańskie przystało – masturbacja[41].

Generalizacje na temat całego spektrum chorób psychicznych i sposobów ich leczenia to rzecz niebezpieczna. Zmiany, zarówno w zakresie praktyki medycznej, jak i w zakresie teorii, zachodzą powoli i mają charakter cząstkowy. Można porównać je do długotrwałego negocjowania traktatu, który rozstrzygnie o skutkach wojny między obłędem a zdrowiem psychicznym. Granice się zmieniają, zmienia się także pole walki. Szpitale znajdujące się z dala od linii frontu działają w taki lub inny sposób; z kolei szpitale zaangażowane w walkę próbują ustanawiać reguły i je upowszechniać. Ale tylko część placówek osta-

tecznie się tym regułom podporządkuje. Pacjenci bywają lepiej zorientowani niż lekarze, zwłaszcza jeśli zaliczyli w życiu pobyt w paru różnych ośrodkach na terenie różnych krajów. Zatem z czasem wyłaniają się pewne trendy. Historycy są zgodni, że nowa specjalizacja medyczna, obejmująca choroby umysłu, pojawiła się zrazu we Francji, potem zaś w krajach niemieckojęzycznych. Niemniej brytyjskie doświadczenia wywarły olbrzymi wpływ na praktykę zarządzania szpitalami dla obłąkanych, choć początkowo kierownicy takich szpitali bynajmniej nie byli lekarzami umysłów.

Historia narzucanych kobietom norm, podwójnych standardów i kategorii zbyt ciasnych, by pomieścić ludzkie życie.

Histeria, szaleństwo laktacyjne, kobiece sprawy... W XIX wieku zaburzenia psychiczne kobiet wzbudzały w lekarzach (mężczyznach) niepokój, który często przeradzał się w lekceważenie. Jeszcze nie tak dawno dręczone przez własne umysły pacjentki mogły liczyć co najwyżej na zakucie w kaftan, kąpiele lecznicze albo wizytę egzorcysty.

Lisa Appignanesi w samym centrum tej wstrząsającej opowieści umieszcza kobiety, których życie i emocje coraz częściej stawały się przedmiotem badań lekarzy, jak choćby Freuda, Junga i Lacana, którzy opracowali dla nich nowe terapie. Pojawiają się one zarówno jako pacjentki – Mary Lamb, która w napadzie załamania nerwowego rzuciła się na matkę z nożem, Sylvia Plath i Virginia Woolf, latami dręczone przez nawracającą depresję, czy Zelda Fitzgerald i Marilyn Monroe, stopniowo pokonywane przez własne uzależnienia i kompleksy – jak i terapeutki, z Anną Freud oraz Melanie Klein na czele.

To także opowieść o tym, jak przez lata objawy dopasowywały się do modnych diagnoz oraz o tym, jak terapie przynosiły sukcesy lub zawodziły. Wszystko to pozwala szerzej spojrzeć nie tylko na delikatne zagadnienie zdrowia psychicznego na przestrzeni wieków, ale także – a może przede wszystkim – na rolę i miejsce kobiet w całym tym szaleństwie.

KUP TERAZ!
cena 49,90 zł
PATRONAT MEDIALNY
lubimyczytać.pl
w sprzedaży także
eBOOK